

Melissa McClone

Dwoje na rajskiej  
wyspie

## PROLOG

Henry Davenport postukał kosztownym piórem w mahoniowy blat biurka i rozejrzał się wokół, jakby szukał natchnienia. Półki uginały się od książek, lecz żadna go nie skusiła. W telewizji też nie było nic ciekawego, a wszystkie kasety i DVD już dawno obejrzał. Włączył więc odtwarzacz i bibliotekę wypełniło jazzowe solo na trąbkę.

Lubił jazz, ale nie dzisiaj. Może więc Vivaldi? Blues? Hard rock, folk, muzyka alternatywna, country? Stary, dobry Bach?

Na pewno stary, na pewno dobry, ale może jutro.

Lecz czym zająć się teraz?

W rezydencji poza nim nie było żywej duszy, bo wysłał wszystkich na doroczny urlop, oczywiście na swój koszt. Są teraz daleko od Oregonu. Dlatego tak tu cicho. Na ogół lubił ciszę, ale dziś...

Może zadzwonić po przyjaciół i znajomych? Tylko na to czekają, zaraz zaroiliby się od ludzi. Ale nie, brakuje mu czegoś innego. Tylko czego?

Przyjęcie urodzinowe jest już przygotowane, musi tylko zapłacić resztę należności za tropikalną wysepkę. Więc skąd ten nieokreślony niepokój, dziwne poczucie, że o czymś zapomniał, coś przegapił?

Przed nim leżały papiery dotyczące przyjęcia: zaproszenia, szczegółowy plan imprezy... Spojrzał na listę gości.

Pierwszego kwietnia na własny koszt zabiera ich na Hawaje. O nic nie muszą się martwić.

Nikogo ani niczego nie pominął, wszystko dopięte na ostatni guzik. Szalone urodziny na tropikalnej hawajskiej wyspie, w jednym z najbardziej ekskluzywnych ośrodków. Tegoroczne party powinno przebić ostatnie przyjęcie, które wydał w szpanerskim Reno w Newadzie.

Każdego roku hucznie świętował urodziny. Wymyślał przy tym jakiś temat przewodni, a dwie losowo wybrane osoby udawały się w świat, by wykonać jakieś zadanie. Henry wciąż doskonalił swoje pomysły, świetnie się przy tym bawiąc. Miał nadzieję, że jego goście też.

Może właśnie stąd to niejasne poczucie, że coś przegapił. Zależy mu, by nie zawieść oczekiwań. Jego goście liczą, że znowu ich czymś zaskoczy.

W zeszłym roku Brett Matthews i Laurel Worthington zakochali się w sobie bez pamięci. Skończyło się ślubem, a on został ojcem chrzestnym prześlicznej Noelle.

Spojrzał na stojące na biurku zdjęcia dziewczynki. Zrobiło mu się ciepło na sercu. Taka drobina, a już go zawojowała. Nie może się doczekać, kiedy ją znowu zobaczy. Jaka będzie, kiedy podrośnie? Kupił dla niej masę prezentów, od wielkiego konia na biegunach po sznur cennych pereł. Dobrze się stało, że udało mu się skojarzyć Brettta i Laurel. Dobrze również dla niego.

Naraz go olśniło.

Już wiedział, co go tak niepokoiło. Musi skończyć z przypadkowością, z losowym wybieraniem kandydatów do przygody, Co z tego, że jemu nie spieszy się do ołtarza? Innym na pewno się spieszy, choć być może sami o tym nie wiedzą. Na przykład rodzice małej Noelle jeszcze przed rokiem nie mieli pojęcia, że w głębi ducha marzą o sobie, a jacy teraz są szczęśliwi! Byłoby cudownie, gdyby wszyscy jego znajomi zaznali podobnych uczuć. Jeśli efektem będą kolejni chrześniacy, tym lepiej.

Ogarnęło go podniecenie. Pochylił się nad listą gości.

Którzy z nich stworzą kolejną szczęśliwą parę?

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Dlaczego odciągnąłeś mnie od Trávisa? - Cynthia Sterling nie ukrywała złości. Co z tego, że Henry świętuje trzydzieste czwarte urodziny? Nie powinien wtrącać się w jej sprawy. - Świetnie nam się rozmawiało.

- Tak mówisz?

Henry pociągnął ją do wyjścia z sali balowej. Miał na sobie szorty i hawajską koszulę w biało - zielony deseń. Uśmiech nie schodził mu z twarzy. Jego primaaprilisowe bale urodzinowe cieszyły się legendarną sławą, a tegoroczny najpewniej przyćmi wszystkie poprzednie. Tropikalny ośrodek dla wybrańców, sam smak Polinezji. Wspaniale udekorowana sala, pochodnie oświetlające przejście na plażę, piękne tancerki wirujące w rytm miejscowych tańców. Przepych i dbałość o najdrobniejsze szczegóły, a wszystko w dobrym, wręcz wyrafinowanym guście. Jak to sobie zaplanował.

- Ten Travis aż lepi się do ciebie. - Uśmiech znikł mu z twarzy.

- I co z tego? Zresztą przesadzasz.

- Czyżby? Zwariował na twoim punkcie.

- Po prostu jest trochę zauroczony - bagatelizowała, lecz tylko na użytek Henry'ego. Bo sama...

- Hm, zauroczony... a może żaloszny? - usłużnie zasugerował. - Zresztą nieważne, niedługo mu przejdzie.

- Po moim trupie! - nie wytrzymała Cynthia. Travis był wymarzoným kandydatem na męża. Ślepo zakochany, gotów dać jej wszystko, czego tylko zapragnie. - Jest idealny.

- Stać cię na kogoś lepszego.

- A jeśli nie potrzebuję nikogo lepszego? - stwierdziła zaczepnie,

- Już raz zwiął sprzed ołtarza.

- Powiedział mi o tym. To nie była jego wina.

- Jasne, zawsze tak mówią - zadrwił Henry.

- Daruj sobie! - fuknęła ze złością.

Wiedziała, że Travis nie spuszczał jej z oka. Co z tego, że nie należał do grona przystojniaków, jak choćby Henry czy niektórzy z jej znajomych, ale miał dużo uroku. Naprawdę miły facet, a przy tym jednak, podobnie jak ona. Wyznał, że czuje się samotny i chciałby założyć rodzinę, mieć dzieci... Jak cudownie to zabrzmiało! Trafił prosto w jej marzenia. Ledwie się pohamowała, by natychmiast nie zaciągnąć go przed oblicze sędziego pokoju, by dał im ślub.

Travis doskonale nadaje się na męża i ojca. Uwielbia ją, a ona go polubiła, przy tym pragną od życia tego samego... Czy można chcieć czegoś więcej?

Ich spojrzenia skrzyżowały się. Travis wpatrywał się w nią, jakby tylko ona była na całym bożym świecie. Czowała się adorowana i podziwiana. Wspaniałe uczucie. Jej przyjaciółki albo już powychodziły za mąż, albo były po słowie, więc problem miały z głowy. Też by tak chciała.

Dała mu znak, że zaraz do niego dołączy. Travis odpowiedział uśmiechem. Może już wkrótce zapomni, co to znaczy samotność... oboje zapomną.

Poprawiła wpięty we włosy kwiat hibiskusa.

- Jest szczęśliwy, że mnie poznał.

- Ma świętą rację. - Henry uśmiechnął się czarująco, jak to on. No cóż, cieszył się opinią niebezpiecznego uwodziciela i bawidamka, i była to sława w pełni zasłużona.

Lecz na nią jego urok nie działał. Poznali się, kiedy stawiała pierwsze kroki w wielkim świecie, i od razu przypadli sobie do gustu. Pięć lat temu, gdy skończyła dwadzieścia jeden lat, nawet coś zaiskrzyło między nimi, ale to była pomyłka. Przyjaźń, jak najbardziej, ale nic więcej.

- Zgadzam się, ma rację. - Cynthia też się uśmiechnęła.

- Ale nim zostaniesz szanowną panią Drummond, chciałbym, żebyś kogoś poznała.

- Kogo?
- Cade'a Watersa.
- Cade Waters... - Choć znała prawie wszystkich, których powinno się znać, to nazwisko nic jej nie mówiło. - Chyba ktoś nowy?
- Nie całkiem. Chodzi o Cade'a Armstronga Watersa.
- Co?! O tego Armstronga? Z Armstrong International?
- Jest jednym z bratanków.
- O rety! - zawołała.
- Właśnie, o rety.

Cynthia była pod wrażeniem. Armstrongowie byli tak bogaci, że przy nich firma Trávisa to tyle co nic, a na dodatek stanowili liczną rodzinę. Natomiast Travis był sam jak palec.

Potężna, skoligacona z europejską arystokracją familia, ogromny majątek, rozgłos i sława. Pomyśleć tylko, jak wyglądają ich rodzinne spotkania. Krew popłynęła jej szybciej.

Zawsze marzyła, by mieć dużą rodzinę. Bolała, że jest jedynaczką. Niby ma rodziców, jednak to nie jest to. Zupełnie nie to.

- Dlaczego nigdy nie słyszałam o Cadzie? - spytała.
- Unika rozgłosu. Zero kontaktów z prasą i mediami. Mówią, że jest w rodzinie czarną owcą, ale to nieprawda. Nie znajdziesz lepszego faceta.
- Myślałam, że tylko ty jesteś ideałem.
- Dobra, dobra! - roześmiał się. - Niedawno jego siostra wyszła za mąż. Może coś obito ci się o uszy. Kelsey Armstrong Waters Addison.
- Addison? Jak ta sieć kurortów... - Złapała go za ramię. - Zaraz, a ta Kelsey organizuje uroczystości ślubne dla gwiazd? Oczy mu się śmiały.
- Co może okazać się bardzo przydatne, jeśli między tobą a jej bratem coś zaiskrzy.

Jeśli coś zaiskrzy... Oczami wyobraźni widziała roześmiany tłum zgromadzony przy ogromnej, wspaniale udekorowanej choince, stół zastawiony do uroczystej kolacji, wokół śmiech i radosny gwar... Gdyby z Cade'em coś wyszło, już nigdy nie spędzi świąt sama. Niech rodzice jadą sobie na kolejny „miesiąc miodowy”.

Tak bardzo chciałyby zaznać życia w spokoju i miłości, otoczona rodziną. A tu już wszystko jest gotowe - wielopokoleniowa familia, mnóstwo ciotek i wujków, siostrzenic, bratanków, kuzynów. W dodatku są bogaci. Już nigdy by się nie bała, że bieda zajrzy jej w oczy. Wszystko, czego pragnie, jest na wyciągnięcie ręki...

To zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

- Tego Cade'a zadręczają ekszony albo były kochanki? Może ma dzieci? Kogoś, o kim powinnam wiedzieć?

- Nic z tych rzeczy.

- No to gdzie on jest? - spytała podekscytowana.

- Tam, koło wodospadu.

Ujrzała rosnącego jasnowłosego mężczyznę w kąpielówkach. Opalona skóra, szerokie, umięśnione bary. Obstupujące go ślicznotki wpatrywały się w niego z jawnym zachwytem.

Typowy rozpieszczony milionerski synalek, playboy i goguś, pomyślała... i zaraz poczuła wyrzuty sumienia. Nie powinna oceniać ludzi wyłącznie po wyglądzie. Wielokrotnie doświadczyła tego na własnej skórze. Mimo to...

- Ten blondyn? - spytała rozczarowana.

- Nie, nawet nie wiem, kto to. - Pociągnął ją dalej. Po drugiej stronie wodospadu stał ciemnowłosy mężczyzna. Mokre włosy odgarnął z czoła. Był sam. Twarz zasłaniała mu połówka ananasa, z której popijał drinka. - To jest Cade Armstrong Waters.

Wysoki. Biała bawełniana koszulka i zielono - niebieskie kąpielówki. Nie miał takich wyrzeźbionych mięśni jak blondyn, ale musiał być silnym mężczyzną.

Przestał pić. Teraz mogła zobaczyć jego twarz. Odetchnęła z ulgą. Był całkiem przystojny. Intelktualista w delikatnych drucianych okularkach. Młody profesor... a zarazem mąż i ojciec.

Z tym jej się skojarzył.

Dla kogoś takiego nie straci głowy. I bardzo dobrze. Najbardziej w świecie pragnęła zostać dobrą mamą. Lepszą niż jej rodzice. Jej dzieci zawsze będą wiedziały, że są najważniejsze.

Cóż, jest niezły, i wcale nie taki uładzony, jak początkowo sądziła. Włosy trochę przydługie, niepokojący wyraz twarzy... Może być niebezpieczny... i to bardzo!

- Podoba ci się? - zapytał Henry?

- Uhm... - mruknęła niepewnie, lecz zaraz pomyślała, że oprócz Cade'a jest jeszcze cała rodzina Armstrongów, i od razu poczuła się lepiej.

Henry roześmiał się.

- Lepszy niż Travis?

- Może... - Czowała suchość w ustach. Poprawiła kwiat we włosach. - Chodźmy. Niech Cade się we mnie zakocha.

Cade zamieszał drinka barwną parasoleczką. Głowa znów zaczynała go boleć. Najchętniej by się stąd zerwał. Nie brało go ani wykwintne jedzenie, ani świetnie zaopatrzone bar, ani roześmiane, roznegliżowane dziewczyny. Nie zmylą go te skąpe kostiumy i plażowe spódniczki, ten „naturalny” wygląd, na który zapracowała nie matka natura, lecz zakłady kosmetyczne i kilogramy tapety.

To nie są jego kręgi. Owszem, kiedyś jak najbardziej, ale już dawno przejrzał na oczy. Stał się innym człowiekiem. Całkowicie zmienił podejście do pieniędzy i wszystkiego, co



się z nimi wiąże. Przez pieniądze rozpadło się małżeństwo jego rodziców. W jego przypadku odegrały podobną rolę. Zrujnowały mu przyszłość.

A jednak przyjechał tutaj.

Popatrzył na basen. Długo pływał, więc teraz był spragniony i głodny. Mógłby podejść do suto zastawionych stołów, ale zaraz zaczęłyby się te beznadziejne rozmówki z ludźmi, których serdecznie nie znosił. Dlatego wciąż stał na uboczu.

Przez lata wykręcał się od urodzinowych przyjęć Henry'ego, czego rodzina nie mogła mu darować. Krewniacy uwielbiali bywać u szczodrego miliardera, bo świadczyło to o przynależności do elity towarzyskiej. Armstrongowie są postrzegani jako ludzie sukcesu. Dobrze by było, gdyby o nim też tak zaczęto mówić. Dojdzie do tego bez ich pomocy. I bez ich pieniędzy.

Niestety ten rok nie należał do udanych, dlatego nie mógł odrzucić zaproszenia. Został postawiony pod ścianą. Henry obiecał sto tysięcy dolarów na fundację Uśmiechnięty Księżyc, ale pod warunkiem, że Cade przyjedzie na urodziny i zostanie do końca imprezy.

Nie miał wyjścia, musiał się tu zjawić, bo fundacja ledwie zipała. Cade wychodził ze skóry, by związać koniec z końcem, ale wystarczy drobny błąd, a fundacja zbankrutuje. Jedyna nadzieja w hojnych sponsorach, takich jak Henry Davenport.

Rodzice wciąż nalegali, by zrezygnował z fundacji i wziął się za coś nowego, a najlepiej, gdyby wrócił do praktyki adwokackiej. To byłoby w ich stylu: jak coś dzieje się nie tak, pokazać plecy i odejść. Lecz on jest inny. Za nic nie zostawi dzieci w potrzebie, zrobi wszystko, by fundacja działała jak najdłużej.

Dlatego męczy się teraz z bogatymi próżniakami, nie zżyma się na to ostentacyjne bogactwo. I nawet chętnie przyjął wręczany na wstępie upominek od miliardera Henry'ego Davenporta. Była to elegancka torba słynnego projektanta, a w niej podręczny GPS, szwajcarski scyzoryk, zegarek dla pletwonurka i muszla, w której ukryto perłowe kolczyki lub spinki do mankietów, w zależności od płci gościa. Z radością przyjął to wszystko, bo na aukcji w czasie przyjęcia charytatywnego na rzecz fundacji z pewnością uzyska za te ekskluzywne drobiazgi świetną cenę. Oczywiście jeśli fundacja przetrwa do lata.

Spostrzegł nadchodzącego gospodarza.

- Dobrze się bawisz? - Henry uśmiechał się.

Cade wiedział, że musi ostrożnie dobierać słowa, by go nie urazić. Cóż, od jego hojności w dużej mierze zależała przyszłość fundacji. A gdyby tak namówić Henry'ego, by objął ją swym patronatem? Uśmiechnął się na samą tę myśl. Chyba po raz pierwszy od dwóch dni. Czy może od dwóch miesięcy?

- Jest bardzo... ciekawie.

- Miło mi to słyszeć. - Henry skinął w stronę blond ślicznotki. - Chciałbym ci kogoś przedstawić.

Jeszcze jedna z jego pańienek. Cade wzdrygnął się w duchu. Trudno, musi robić dobrą minę. Pociągnął drinka. Jakiś nowomodny wynalazek... Stanowczo wolałby whisky czy piwo, z puszki lub z butelki, bez tych parasoleczek, wydrążonych ananasów i innych bzdur.

- To Cynthia Sterling, moja dobra znajoma. Cynthia, to jest Cade Arms...

- Cade Waters - przerwał. Popatrzył na najświeższą „dobrą znajomą” Henry'ego. Była jak wszystkie poprzednie. Doskonale ostrzyżone, rozjaśnione i ułożone włosy łagodnymi falami spływały na nagie ramiona, alabastrowa cera, pełne,

karminowe usta... czyli efekt pracy fryzjerów i kosmetyczek, a do tego te różne pudry, pomadki, maści i diabli wiedzą co jeszcze. No i ten prowokujący sarong w odcieniu rdzawej czerwieni, który podkreślał kształtną figurę. Jednym słowem, koszmar. - Miło cię poznać.

Dziewczyna wyciągnęła rękę i zatrzepotała rzęsami. Wprawdzie zielonoorzechowe oczy ze złocistymi cętkami wyglądały na autentyki, ale kto to dzisiaj wie. Szkła kontaktowe czynią cuda.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Naszpikowane kolagenem usta wygięły się w uśmiechu, głos brzmiał miodową słodyczą, ciepło, uwodzicielsko. Ledwie się pohamował, by nie wybuchnąć śmiechem. Takich jak ona zna na pęczki. Tylko patrz, jak złowić dobrze ustawionego męża. Piękne opakowanie, a środka pustka. Kilku jego kuzynów ożeniło się z takimi i już dawno są po rozwodzie. A ile jego kuzynek należy do tego koszmarnego gatunku?

Cade gustował w innych kobietach. A raczej w jednej. Pragnął Maggie.

Lecz nigdy jej nie dostanie, wiedział o tym. I sam był sobie winien.

- Zostawię was, żebyście się lepiej poznali - rzekł Henry i zniknął w tłumie gości.

I to w chwili, gdy Cade myślał, że już gorzej być nie może... Mogło.

Cynthia popatrzyła na niego.

- Dawno znasz Henry'ego?

Jeśli nie podejmie rozmowy, może ta Barbie zostawi go w spokoju. Nie chciał być niegrzeczny, ale wolałby być teraz sam. Wspomnienie byłej narzeczonej zawsze go poruszało. Zacisnął usta.

- Przyjaźnię się z nim od dawna - dodała po chwili. Od dawna, czyli od kiedy? Od tygodnia? A może od wczoraj? To byłoby w stylu Henry'ego.

- Długo ze sobą chodzicie?

- Słucham?

Jej śmiech zabrzmiał inaczej, niż Cade się spodziewał. Był głębszy, wyższy, a nie piskliwy i przesadny. Z niechęcią przyznał jej punkt.

- Przecież jesteś jego dziewczyną?

- Tylko się przyjaźnimy. Za dobrze go znam. - Cynthia uniosła brodę.

Nie była głupia, uznał, i dopisał drugi punkt.

- A ty? - spytała.

- Za dobrze go znam, żeby z nim chodzić.

- Jesteś gejem? - Już się nie uśmiechała. - Zabiję Henry'ego! - Nim zdążył dojść do słowa, dodała: - Nie ma sprawy, w porządku, a nawet świetnie, że jesteś gejem. Cóż, wychodzi na to, że wszyscy fajni faceci są gejami... Czy to nie ironia losu? Założę się, że nie możesz opędzić się od chętnych.

No cóż, ta mała nie ma nawet odrobiny poczucia humoru. Odpisał punkt.

- Nie jestem gejem.

- Przecież powiedziałaś... - Zmarszczyła brwi.

- To był żart.

- Ach, już rozumiem! - ucieszyła się po głębokim namyśle.

Cóż, głupie cielątko z ładną buzią i fajnym ciałem... Ale Henry dotąd nie gustował w kretynkach. Może odmieniły mu się upodobania?

Nic go to nie obchodzi. Przyjechał tu, by wypełnić misję. Gdy tylko poczuje w ręku czek na sto tysięcy, wsiada do pierwszego samolotu.

- Wezmę sobie jeszcze jednego drinka. Może ci przynieść?

- Bardzo proszę. - Uśmiechnęła się czarująco. Pewnie godzinami ćwiczyła ten uśmiech przed lustrem. - Mógłbyś wziąć dla mnie z czerwoną parasoleczką i wisienką?

Czerwona parasoleczką i wisienka. Ta dziewczyna to dramat. Cade powstrzymał się, żeby nie westchnąć.

- Zobaczą, co się da zrobić.

Henry zanucił pod nosem. Przyjęcie jest udane, wszystko idzie jak z płatka. Pora przystąpić do najważniejszego punktu programu. Zaraz się okaże, kto z gości zakosztuje uroków tegorocznej przygody. Wszedł na scenę i dał znak muzykom, by przestali grać.

- Proszę wszystkich o ustawienie się w kolejce! - zawołał do zgromadzonych. - Każdy ma szansę na przygodę życia!

Przyodziani w egzotyczne stroje kelnerzy i kelnerki roznosili drinki wśród formującej się kolejki. Goście prześcigali się w domysłach, co w tym roku przygotował Henry. To zawsze była niespodzianka. Jedyne prezent, jakiego życzył sobie gospodarz, to udział w losowaniu. Na szczęśliwca czekała sowita nagroda.

Henry promieniał. Tegoroczna atrakcja przebije wszystkie poprzednie. To będzie jego triumf.

Goście kolejno rzucali kostki, zaraz miała zrobić to Cynthia. Podeszła do sceny. Poruszała się płynnie, z wdziękiem. Jest naprawdę piękna. Zadbana, jasnowłosa, nieprawdopodobnie zgrabna. Wspaniały uśmiech. Wszystko powinno się udać. Uda się jej z Cade'em.

Tym lepiej dla niej.

Nie jest rozkoszną naiwną gąską. Potrafi zaleźć za skórę. Ale kocha ją jak siostrę. Pod zewnętrzną fasadą - markowymi ciuszkami, wypracowanym makijażem - kryje się dobre serce.

Nie miała łatwego życia. Jej rodzice świata poza sobą nie widzą. Zapominali, że mają dziecko. Nie spostrzegli, kiedy Cynthia stała się dorosła. Do tej pory nie mieściło mu się w głowie, że w zeszłym roku zapomnieli o jej urodzinach. Udawała, że nic się nie stało, że się tym nie przejmuje. Podobnie jak świętami spędzanymi w samotności.

Zapewniała, że zależy jej tylko na tym, by znaleźć sobie dobrego męża, ale nie wierzył jej. Widział jej oczy, gdy po raz pierwszy wzięła na ręce Noelle. W jej głosie słyszał nutę zazdrości, gdy cieszyła się, że Laurel i Brettowi tak dobrze się ułożyło. Żaliła się, że nie może znaleźć tego jedyne. Wiedział, dlaczego tak się dzieje: za bardzo się stara, za bardzo jej zależy. Ma dwadzieścia sześć lat i marzy, by wreszcie wyjść za mąż. Henry nie pozwoli, by poprzestała na pierwszym lepszym. Na przykład na jakimś tam Travisie.

Weszła na scenę i cmoknęła gospodarza w policzek.

- Wszystkiego najlepszego, Henry.

- Dziękuję, złotko. - Zręcznym ruchem podmienił kostki. Tę sztuczkę zdradził mu w zeszłym roku iluzjonista z Reno. - Życzę szczęścia.

Cynthia przemieszała kostki i rzuciła. Dwie szóstki. Najlepszy wynik. Dwie osoby z najwyższym wynikiem, kobieta i mężczyzna, wchodzi do gry. W jej oczach błysnęło przerażenie.

- Nie bój się - uspokoił ją. - Świetnie sobie poradzisz. Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Oby tak było, bo inaczej dam ci popalić - powiedziała cicho, jednak w jej głosie zabrzmiała prawdziwa groźba.

Tego właśnie się spodziewał. Gdyby coś się nie powiodło, naprawdę da mu popalić. Cenił ją za to. Cynthia nie jest potulnym barankiem, nie jest kukłą, którą można przestawiać z kąta w kąt. Idzie własną drogą, prosto do celu.

Teraz czekają ją trudne dwa tygodnie, ale to wszystko dla jej dobra. Zależy mu, by była szczęśliwa. Musi otworzyć jej oczy. Sprawić, by sama zrozumiała, czego jej naprawdę potrzeba. Znalazł dla niej właściwego mężczyznę.

Cade wszedł na scenę. Nie jest zachwycony, że się tu znalazł, Henry dobrze o tym wiedział. I nawet się nie domyśla, co go czeka. Ale poradzi sobie, a z czasem doceni jego starania. Nie tylko dla fundacji, ale dla niego samego.

Cade rzucił kostki. Dwie szóstki. Skrzywił się. Cynthia rozjaśniła się w uśmiechu.

Henry czekał, aż reszta gości dopełni rytuału. Potarł dłonie. Czuł coraz większe podniecenie.

Czym to się zakończy? Wszystko przemawiało za tym, że jego plan wypali. Gdy po dwóch tygodniach powrócą z egzotycznej wyspy, w oczach Cynthii Cade będzie wymarzoną mężczyzną, tym jednym jedynym.

Henry uśmiechnął się szeroko. Życie jest piękne!

- Mamy dwójkę zwycięzców - oznajmił przez mikrofon. - Cynthia Sterling i Cade Armstrong Waters! - Gdy ucichły oklaski, mówił dalej: - W tym roku nagrodą jest dwutygodniowa szkoła przetrwania na bezludnej wyspie. Taka przygoda czeka Cade'a i Cynthię!

- Dwa tygodnie? - Cade zaciął twarz. - Mam swoje sprawy.

- Poradzisz sobie - pocieszył go Henry. - Oczywiście możesz zrezygnować, ale wtedy musisz zapłacić karę. I w ogóle wszystkim zrobi się przykro.

Kara to dziesięć tysięcy dolarów darowizny na rzecz jednej z hołubionych przez Henry'ego instytucji dobroczynnych. Dotychczas jeszcze nikt się nie wycofał, bo oznaczało to również wykluczenie z urodzinowych przyjęć, czyli duży minus w notowaniach towarzyskich.

Cade jako prawnik wiedział, że łatwo mógłby wykpić się od płacenia, ale wtedy fundacja straciłaby stutysięczną dotację. Bo chyba to oznaczały słowa, że „wszystkim zrobi się przykro”. Czyżby to był szantaż? Spojrzał na Henry'ego i już wiedział. Tak, to był szantaż.

- W porządku, wchodzę - oświadczył Cade.

Henry uśmiechnął się promiennie. Kamień spadł mu z serca.

- Ja też - powiedziała Cynthia.

O to się nie martwił. Dwa tygodnie na bezludnej wyspie to zniszczenie jej marzeń. Oczywiście już planuje wesele i podróż poślubną. Zachichotał w duchu. Pewnie wybiorą się na jakąś egzotyczną wyspę...

- Świetnie. - Podał im plecaki. - Weźcie przybory toaletowe i ubrania. Resztę rzeczy dostaniecie, gdy znajdziemy się na miejscu.

Cynthia zajrzała do plecaka.

- Mam się w to zapakować na dwa tygodnie?

- Wystarczy ci kostium kąpielowy. - Widząc jej minę, puścił oko. - Uśmiechnij się, bo szpetnie wyglądasz z nadąsaną miną.

Cynthia zmrużyła oczy. Widomy znak, że lepiej nie przeciągać struny.

- Ile mam czasu, by pozałatwiać najpilniejsze sprawy? - zapytał Cade. - Dwa tygodnie to sporo...

- Czeka nas długa podróż - przerwał mu Henry. - Zdążysz odwalić wszystkie telefony i bliżej poznać Cynthię.

- No to super - mruknął ponuro Cade.

Natomiast Cynthia promieniała.

- Ja już nie mogę się doczekać. Tak jak Henry.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Cynthia wyciągnęła się wygodnie w fotelu i podniosła do ust wysoki kieliszek. Bąbelki szampana przyjemnie połaskotały ją w nos. Odstawiła kieliszek na stolik, popatrzyła na migoczącą w słońcu morską toń. Czujny steward zbliżył się bezszelestnie i dopełnił kieliszek.

To się nazywa życie!

Od wczorajszego wieczoru, gdy weszli na pokład jachtu Henry'ego, miała wrażenie, że śni. Obsługa uprzedzała jej najdrobniejsze zachcianki. Czyż można chcieć czegoś więcej? Jeśli następne dwa tygodnie będą tak wyglądać, to lepiej nie można sobie wymarzyć. Tym większa szkoda, że Cade jest taki niechętny.

Zdjęła ciemne okulary i zerknęła w jego stronę. Niemal się nie odzywał. Nie rokowało to dobrze.

- Nie uprzedziłeś mnie, że taki z niego pracoholik.

- Cade jest bardzo oddany swojej pracy - powiedział Henry.

- Raczej ma bzika na tym punkcie. - Skrzywiła się. - Coś mi się widzi, że przez całą noc nie zmrużył oka.

- Praca go pochłania.

W sumie to dobrze o nim świadczy, uznała po chwili. Nie to, co jej tata. Rodzinne interesy nic go nie obchodziły. Machnął ręką na wszystko, byle tylko przez cały czas być z mamą. Kiedy się otrząsnął, byli bez grosza. I bez domu. Miała wtedy dwanaście lat. Te straszne cztery miesiące na zawsze wryły się jej w pamięć. To był jedyny czas, kiedy rodzice się kłócili. Gdyby nie dziadek, nie wiadomo, co by się z nimi stało. Przyszedł z pomocą, gdy uznał, że ojciec dostał wystarczającą nauczkę.

Do dziś ze zgrozą wspominała tamten lęk i stałe poczucie zagrożenia. Przynurzała sobie, że zrobi wszystko, by wyjść bogato za mąż i już nigdy nie doświadczyć czegoś takiego.

I oto nadarza się świetna sposobność. Cade Armstrong. Ma pieniądze, całe ich mnóstwo, a na dodatek jeszcze pracuje. To wprost niesamowite. Ani ona, ani Henry nigdy nie pracowali.

- Czym on się zajmuje?

- Skończył prawo. - Henry odgryzł kęs mango. Pewnie jest doradcą Armstrongów. Robi niezłą kasę, a poza tym ma dostęp do rodzinnych pieniędzy. Tak się ustawić... godne podziwu.

Jest prawnikiem, więc może zostanie politykiem? Kilku jego kuzynów nieźle sobie z tym radzi. Dotąd nie interesowała się polityką, jednak jest odpowiedzialnym wyborcą. W zasadzie to nie jest zły kierunek. W przyszłości mogłaby zostać panią gubernatorową, senatorową, lub nawet żoną prezydenta.

Pierwszą damą.

Przymknęła oczy. Podziw i uwielbienie tłumów. Cudowne! Z radością zostanie pierwszą damą. Będzie w tym naprawdę dobra. Wprowadzi najmodniejsze stroje i najnowsze fryzury, będzie promować najświeższe trendy. Wzniesie się na wyżyny, których nie osiągnął nikt po erze Kennedych.

Nie stanie się to od razu, to jasne. Cade jest za młody, by starać się o ten urząd. Ale do Kongresu już się nadaje.

- Hm, czyli Cade jest prawnikiem. - I przyszłym wodzem narodu. A ona będzie wiernie trwać przy nim, razem wstąpią na karty historii. Naród obdarzy ją miłością, cały świat ją pokocha. I, co najważniejsze, Cade.

- Poczekajmy, niech sam ci powie, czym się zajmuje.

- Chciałabym wypytać go o tyle rzeczy!

- Spokojnie, mała. Będziecie mieć na to mnóstwo czasu.

- No nie wiem. Jeśli on przez cały czas będzie zajęty pracą...

- Nie będzie telefonów i laptopów. Nic z tych rzeczy.

- Super. - Oparła się wygodniej. - Chciałabym, żeby wreszcie przyłączył się do nas. Jak ma się we mnie zakochać, skoro wcale mnie nie zna?

- Cierpliwości, skarbie. - Uniósł kieliszek i steward natychmiast dolał mu szampana. - Jak tylko znajdziecie się na wyspie, będziesz mieć Cade'a na własność.

- Super - powtórzyła.

- Twoja w tym głowa, byście po dwóch tygodniach stali się nierozłączni.

O niczym innym nie marzyła. Niech się w niej zakocha na zabój. Dwa tygodnie tylko we dwoje...

- Cynthia Armstrong.

- Cynthia Waters - poprawił ją Henry. Poczwała, że robi się jej ciepło na sercu.

- Też brzmi nieźle.

- Całkiem nieźle, kotku. - Henry uniósł w górę kieliszek.

Cały ranek spędził w swojej kabinie. Wreszcie załatwił najważniejsze sprawy i mógł wyjść na pokład. Zamrugał, oślepiiony słońcem. Jacht pruł fale, świeży powiew wiatru przyjemnie uderzał w twarz. Powietrze było przesycone słonym aromatem oceanu. Błękitna tafla wody ciągnęła się po horyzont.

Zatrzymał się, poruszony pięknem natury. Ten cudowny spokój. Minęła chwila, potem następna.

Wystarczy. Nie znalazł się tu dla piękna natury, lecz jak zwykle dla pieniędzy. Nie sposób dobrze się bawić z tą świadomością. Poczwał ból w skroniach.

Boże, bezproduktywnie byczyć się na Pacyfiku... Wakacje to przecież luksus, na jaki nie może sobie pozwolić, bo wszystko się wali i ma tyle na głowie. Jasne, czasami robi sobie wolne, na przykład niedawno był na ślubie Kelsey, ale o prawdziwych wakacjach już dawno zapomniał.

Teraz też jest w pracy. Chodzi o przetrwanie fundacji, o los pokrzywdzonych przez los dzieci.

Nie może też zapominać o rodzinie. Ojciec zdaje się rozkwitać z szóstą żoną, ale mama chwilowo jest sama, Kelsey dopiero co wyszła za mąż. Szwagier wygląda na przyzwoitego faceta, ale zawsze mogą się zdarzyć jakieś problemy.

I Cade musi być gotów, by pomóc siostrze.

Głowa bolała go coraz bardziej. Henry podszedł do niego.

- Udało ci się wszystko pozałatwiać?

- Mhm.

- Wiem, że ten wyjazd spadł na ciebie niespodziewanie.

- Mhm.

Z przezorności ograniczał się do pomrukiwań, by nie palnąć czegoś, czego będzie żałował. Nienawidził takich sytuacji, ale cóż, siła wyższa...

- Zostaniesz na wyspie przez dwa tygodnie?

- A mam jakiś wybór? - Starał się, by nie zabrzmiało to zgryźliwie. Ale i tak zabrzmiało.

Henry uśmiechnął się pogodnie; lecz jego oczy stały się czujne.

- Zawsze jest wybór.

Akurat, pomyślał Cade.

- Gdy już coś zaczynam, to idę do końca.

Jeden jedyny raz wycofał się za szybko i będzie tego żałować do końca życia. Ale teraz wytrzyma.

- To dobrze. Bo jeśli wytrwasz, powiększę moją darowiznę... znacząco.

Metoda kija i marchewki. Cały Henry.

- A co z Cynthią?

- Niby co z nią ma być?

- Każdy widzi, że traperem to ona nie jest. Była choć raz na jakimś biwaku?

- Daj jej szansę. To świetna dziewczyna. Przekonasz się.

- Jakoś się ułoży. - Bez względu na to, co szykuje Henry, wszystko wytrzyma. Ale jak przeżyć kataklizm zwany Cynthią?

Im dłużej miał z nią do czynienia, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że pierwsze wrażenie go nie myliło. Była absolutnym przeciwieństwem Maggie. Takich jak ona unikał niczym zarazy.

Delikatnych, rozpieszczonych, pasożytniczych kobietek, które poza urodą nie miały nic. Infantylnych idiotek, dla których czas upływa od imprezy do imprezy, a świat ogranicza się do drogich butików, modnych kurortów i salonów kosmetycznych. Oby tylko przez te dwa tygodnie panna Sterling potrafiła sama o siebie zadbać, bo on nie przyłożył do tego ręki.

- Zapomniałem o jednym. - Henry popatrzył mu w oczy. - Jest pewien warunek. Cynthią musi wytrzymać na wyspie do końca, inaczej nici z darowizny. Jakiegokolwiek. - Widząc minę Cade'a, dodał: - Oboje musicie przetrwać całe dwa tygodnie. Inaczej przegrywacie i tracicie wszystko.

Serce załomotało mu w piersi. Nie wiedział, czy wytrzyma z nią dwie godziny, a co dopiero dwa tygodnie!

- To nie jest w porządku.

- Takie są warunki. - Henry wzruszył ramionami.

- Ona nie da rady. Nie ma szans.

- Więc musisz się postarać.

- Przecież to...

- Tak postanowiłem - przerwał mu Henry. - Moje urodziny, mój pomysł, moje reguły.

I twoje pieniądze... Cade wiedział, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Nie mógłby nawet zaskarżyć Henry'ego o wycofanie się z obiecanej darowizny, bo to była ustna umowa, do tego zawarta bez świadków.

Nagle go oświeciło.

- No dobrze, dotrwamy do końca, ale ja też mam pewien warunek. Nie tylko znacznie zwiększysz sumę, ale również zostaniesz patronem fundacji i zobowiążesz się do corocznej wpłaty. I chcę to mieć na piśmie, jeszcze przed zejściem na ląd.

Henry zmarszczył czoło.

- Pięć.

- Co pięć?

- Pięć milionów rocznie. Dostaniesz umowę na piśmie. Ale teraz nie da się jej notarialnie poświadczyć. To ci odpowiada?

- Tak, odpowiada - powiedział spokojnie, choć tak naprawdę był kompletnie oszołomiony.

Pięć milionów dolarów, i to co rok! W najśmielszych snach nie marzył o takich pieniądzach. Liczyli grosz do grosza, oszczędzali, na czym się dało, a tu nagle taka niesamowita darowizna!

Wprawdzie miał swój rachunek powierniczy, ale wujek Alan czuwał, by Cade nie uszczknął z niego zbyt wiele. Teraz otwierają się wspaniałe możliwości. Fundacja rozkwitnie. Czuł słodycz sukcesu.

- Tylko nie zapomnij, że Cynthia ma zostać do końca.

- Zostanie.

Już on się o to postara.

Cade natychmiast musiał na osobności porozmawiać z Cynthią. Kiedy tylko Henry zszedł do kabiny, zaczął jej gorączkowo szukać, ale bez skutku. Czyżby wypadła za burtę? Ale o takim farcie nie śmiał nawet marzyć.

Leżała pod parasolem. Chroniła przed słońcem tę swoją nieskazitelną skórę, a mówiąc jeszcze prościej, wylegiwała się. Zacisnął zęby.

Może ta ślicznotka liczy, że tak właśnie będzie? Że on zajmie się tym całym bałaganem zwanym szkołą przetrwania, a ona sobie poleniuchuje? Choć z drugiej strony nie byłoby to takie złe. Cade przeżył swoje w dziczy, zaś ona... szkoda gadać, wystarczyło na nią spojrzeć.

Podszedł do Cynthii. Miała na sobie białą bluzeczkę z króciutkim rękawem zapinaną z przodu na guziczki. Do tego różowe szorty i sandały z cienkich paseczków, oczywiście na niebotycznym obcasie. Nic dziwnego, że wołała się położyć. Chodzenie w czymś takim musi być torturą.

Co go to zresztą obchodzi? Czas goni, powinni się rozmówić, korzystając z nieobecności Henry'ego. Muszą działać razem, by cała ta awantura nie zakończyła się klęską dla fundacji.

- Hm - oznajmił swe przybycie. Odpowiedziała mu cisza.

- Cynthio. - Delikatnie pchnął leżak stopą. Nawet nie drgnęła w słodkim śnie.

- Musisz się obudzić. - Dotknął jej kolana. - Sterling, obudź się.

Uniosła ramiona i zmysłowo, leniwie się przeciągnęła. Przyglądał się temu z mieszaniną fascynacji i lęku. Nie mógł oderwać oczu od jej falującej piersi...

- Cześć, Cade.

Jej głos brzmiał słodko, niemal pieszczotliwie, zwłaszcza gdy wypowiadała jego imię. Dlaczego dopiero teraz to do niego dotarło? I dlaczego dopiero teraz zauważył ten wyglądający spod bluzeczki kuszący brzuszek?

- Musimy porozmawiać - powiedział z powagą, odpędzając frywolne myśli.

- Może usiądziesz? - Wskazała na sąsiedni leżak.

- Dziękuję, postoję. Cynthia zdjęła okulary.

- O czym chcesz porozmawiać?

O tobie, przebiegło mu przez myśl.

- O naszej wyprawie.  
- Czeka nas wspaniała zabawa - stwierdziła radośnie.  
- Zabawa? - zachnął się... i utonął w jej ślicznych oczach, w cudownych złocistych cętkach.

- No jasne. Czyż można wymarzyć sobie coś lepszego? Tylko ty i ja na bezludnej wyspie... Przez czternaście dni...

- Czternaście dni - powtórzył martwym głosem.  
- Czternaście dni i czternaście nocy. - Jej oczy dziwnie rozbłyły.

Och, noce... Uśmiechnął się na tę myśl. Co ja robię? - zreflektował się nagle. To chyba przez to słońce.

- To nie zabawa. Oglądałaś w telewizji reality show ze szkoły przetrwania?

- Raz, może dwa. Pamiętam, że uczestnicy byli okropnie brudni, głodni i źli. No i strasznie nienawidzili się nawzajem. - Zmarszczyła nosek. - Co w tym przyjemnego?

- No właśnie. - A więc wiedziała, co ich czeka. To dobrze. - Przypuszczam, że Henry przygotował coś podobnego. Wysadzi nas na bezludnej wyspie, a my będziemy musieli walczyć ze sobą o zwycięstwo.

- Mielibyśmy walczyć przeciwko sobie? To wykluczone - rzekła z niezbitym przekonaniem. - Henry nigdy by tego nie zrobił.

- Być może, ale powinniśmy być przygotowani na najgorsze. Chodź ze mną.

- Dokąd?

- Do kambuza. Nie wiemy, czy dostaniemy jakiś prowiant. - Widząc jej zdumioną minę, dodał: - A jeśli Henry uznał, że mamy wyżywić się sami, niczym pierwotni ludzie?

- To niemożliwe. Nie posunąłby się aż tak daleko - stwierdziła z niesmakiem.

- A jeśli się posunie?

- Nie zrobi tego.



Ufała Henry'emu bezgranicznie, ale nie z Cade'em takie numery. Zszedł pod pokład. Na szczęście nikt z załogi się tu nie kręcił,

- Jeśli teraz nie zadbamy o siebie, pozostaną nam owady, zmije i inne paskudztwa.

- Henry da nam zapasy - powiedziała stanowczo - - Przecież wie, że nie przełknę nic takiego. - Wzdrygnęła się.

- No dobrze, przyjmijmy, że coś dostaniemy, ale nie zaszkodzi urozmaicić menu. Choćby o jakieś przekąski, w ogóle o wszystko, co znajdziemy,

- Mój plecak już jest pełny po brzegi.

- To coś z niego wyjmij, - Starał się mówić spokojnie, by nie wprowadzać nerwowej atmosfery. - Mamy mało czasu. Mógłbym zrobić to sam, ale wolę, byśmy trzymali się razem. Co ty na to, Sterling?

Uśmiechnęła się.

- Też tak myślę, Armstrong.

- Waters - poprawił oschle.

- Przepraszam.

Podał jej plastikową torbę. Drugą zostawił dla siebie.

- Pójdę pierwszy, ty stój na straży. Potem się zamienimy.

Zgoda?

- Stworzymy świetny zespół, Cade. No to do dzieła.

Świetny zespół? Akurat. Byle tylko wytrwali...

- Daj znać, jeśli ktoś będzie się zbliżać.

- Mogę zagwizdać? - Gwizdnęła cichutko. Nie mógł oderwać oczu od jej ust. Jakby czekały na pocałunek.

- Tak... - Uciekł wzrokiem w bok. Nic z tych rzeczy. Ani teraz, ani nigdy.

- Dwa tygodnie miną jak z bicza strzelił - zagaił Henry. Motorówka zbliżała się do brzegu. Wskazał na zatoczkę. - Jak wam się podoba wasz nowy dom?

Cynthia zapatrzyła się w bajkowy krajobraz. Błękitna laguna, palmy, olśniewająco biały piasek... Z miejsca skojarzył się jej z turystycznymi folderami.

- Tu jest cudownie! Aż brak słów.

- Ale się nam poszczęściło - mruknął Cade. - Mamy własną bezludną wyspę.

Motorówka zatrzymała się osiem metrów od brzegu. Załoga wyniosła na ląd dwie drewniane skrzynie. Po chwili rozległa się przyjemna, cicha muzyka.

Cynthia rozejrzała się ciekawie i zobaczyła radiomagnetofon. Od razu poczuła się lepiej.

Henry wstał z miejsca.

- Oto zaczyna się wasza przygoda. Spędzicie tu dwa tygodnie. Na wszelki wypadek dostaniecie radio, zostawiam wam też podstawowe rzeczy, ale o resztę musicie zatroszczyć się sami... to znaczy znaleźć, zrobić albo wygrać. Będę was odwiedzać, by sprawdzić, jak sobie radzicie, no i przeprowadzać konkursy.

- Jakie konkursy? - zainteresowała się Cynthia.

- Testujące waszą zdolność przetrwania na bezludnej wyspie. Oczywiście przewidziane są nagrody.

- Uwielbiam nagrody! - Cynthia klasnęła w dłonie.

- To mi się podoba - uśmiechnął się Henry. - Gotowi do zejścia na ląd?

Cade zdjął buty, zarzucił plecak i skoczył za burtę.

- No to do zobaczenia. - Henry zachęcił Cynthię do wyjścia.

- Tu jest głęboko. - Do brzegu nie było daleko, ale na samą myśl, że ma wejść do wody, robiło się jej słabo. - Nie chcę się zmoczyć.

- Płytko, ciepła woda... No, Sterling - ponaglił ją Cade.

- Nie. - Była sparaliżowana strachem. Gdy miała osiem lat, porwał ją odpływ i od tamtej pory kąpała się tylko w

wannie lub w jacuzzi. Ukrywała, że nie umie pływać. - Słona woda zniszczy mi ubranie.

- Sterling, po prostu wyjdź z motorówki - powiedział Cade, z trudem hamując zniecierpliwienie.

Co jest? - pomyślała. Popędza ją, jakby była nierozgarniętym chłopakiem, a nie damą, no i od wyprawy do kambuza mówi do niej per Sterling. Może zapomniał, jak ma na imię? To teraz nieważne, ale każdy pretekst jest dobry, by uniknąć wejścia do wody.

- Dlaczego on mówi do mnie Sterling? - zapytała Henry'ego.

- Mężczyźni często zwracają się do siebie po nazwisku. Wzięła się pod boki.

- Czy ja wyglądam jak mężczyzna?

Henry przesunął po niej uważnym spojrzeniem.

- Zważywszy na to i owo, ani trochę.

- Dziękuję.

- Cynthio, wchodź do wody - rzekł Henry. No i co teraz? Co by tu jeszcze wymyślić?

- Powiedz, żeby mnie zaniósł na brzeg - szepnęła.

- Świetny pomysł! - rozpromienił się Henry. - Cade, przenieś ją na brzeg.

- Słucham?

- Zanieś Cynthię na brzeg. Zachowaj się jak dżentelmen. Cade warknął coś pod nosem, rzucił plecak na piasek, wszedł do wody i z zaciętą twarzą dotarł do motorówki.

- Mam ją nieść przez taką płyciznę?

Hm, płycizna... Zależy dla kogo. Na pewno nie dla Cynthii. A jednak zmusiła się do uśmiechu, zatrzepotała rzęsami... i nagle poczuła się błogo. Cade będzie ją niósł nad topielą niczym Tristan swą Izoldę, niczym Rett swą Scarlet!

Przez lewe ramię zarzucił sobie plecak Cynthii, a przez prawe jego właścicielkę. Jakby była workiem kartofli.

Tuż przed oczami miała wodę. Szarpnęła się w tył.

- Co ty...

- Nie jesteś piórkiem - sarknął Cade - choć pewnie byś chciała. Przestań się wiercić, bo inaczej wrzucę cię do wody.

Nie poruszyła się, nawet nie mrugnęła. Cóż, nie tak wyobrażała sobie romantyczną scenę. Lecz jego ręka spoczywająca na jej szortach wprost paliła żywym ogniem.

Przecież to on miał stracić dla niej głowę, adorować, rozpieszczać, wielbić. Tak samo jak Travis. A dzieje się tak, że robi się jej gorąco na myśl, co by się z nią stało, gdyby przesunął rękę o parę centymetrów... Bezceremonialnie postawił ją na piasku.

- Następnym razem wchodzisz do wody.

- Akurat! - mruknęła, a gdy podał jej plecak, stwierdziła grzecznie: - Dziękuję.

Nic nie odpowiedział. Żadnego „proszę” czy „do usług”. Po prostu nic. Nie mogła tego pojąć. Z reguły facetom zależało na jej względach.

Ciszę przerwał dźwięk rogu dobiegający z łódki. Henry pomachał im dłonią.

- Zobaczymy się jutro. Przyjemnego wieczoru.

Cynthia posłała mu pocałunek, pomachała na pożegnanie. Odwróciła się i spostrzegła zaciętą minę Cade'a. Może jest zazdrosny o Henry'ego? Lepiej coś z tym zrobić, żeby nie rozpętywać burzy. Przecież chciała, by Cade ją polubił.

- Też masz ochotę na całuska?

- Jeśli czekoladowego, to owszem. Przynajmniej się odezwał. Zwilżyła usta językiem.

- Są drugie na mojej liście. Też lubię te czekoladki.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Co takiego zrobił, że musiał trafić właśnie na tę dziewczynę?

Są na wyspie, a ona boi się zmoczyć. Jest bardziej rozpieszczona niż francuski piesek. Nie ma szans, by wytrwali tu dwa tygodnie. Cud boski, jeśli Sterling wytrzyma do rana.

Cynthia sprawnie zarzuciła plecak. Nic dziwnego, przecież z czymś takim od lat biegała po sklepach. Między innymi niedawno kupiła te śliczne sandały z cieniutkich paseczków. Kostka wydaje się w nich bardziej delikatna, a wysokie obcasy wyszczuplają łydki. Ale to nie są buty do chodzenia,

- Może zdejmiesz sandały - zasugerował.

- Nie, piasek jest za gorący.

Zrobiła krok, potem odważyła się na drugi. Patrzył w milczeniu. Dramat.

Przy trzecim Cynthia z cichym okrzykiem upadła na ziemię. Ze skrywaną złością strzepnęła piasek z palców.

Cade podszedł do niej.

- Nic ci się nie stało?

- Nic. - Nie zdołała ukryć zdenerwowania. Pośpiesznie ściągnęła sandały. - Powinnam była cię posłuchać.

- Piasek naprawdę jest gorący - stwierdził uprzejmie. Myślał o niej jak najgorzej, ale byli skazani na siebie, więc po co dolewać oliwy do ognia. Czternaście dni. Jak on to wytrzyma? - Pomóc ci wstać?

- Proszę.

Wziął ją za rękę... drobną, delikatną i ciepłą, ale wcale nie tak kruchą, na jaką wyglądała. Gdy niósł Cynthię na brzeg, czuł, że pod miękką skórą kryją się wyćwiczone mięśnie. Z pewnością pracowała nad formą.

Delikatna, ale silna... sama rozkosz.

Szybko postawił ją na nogi i puścił rękę, jakby parzyła. Bo parzyła.

- Mam nadzieję, że masz inne buty.

- Oczywiście. Prześliczne pantofelki od Manola... - Jej uśmiech zgasł. - Też na wysokich obcasach. Trudno, kupię sobie inne.

Cade rozejrzał się po plaży, spojrzął na palmy, zerknął na bezchmurne niebo.

- Gdzie?

- W ośrodku.

- W jakim ośrodku?

Popatrzyła na niego, jakby zadał najgłupsze z pytań.

- Tam, gdzie będziemy mieszkać.

- Uff...

Odwrócił się i popatrzył na ocean. Ciemna łódeczka ginęła w bezkresie wód. Na myśl o Henrym Davenportcie aż się w nim gotowało. Ugryzł się w język. Jako prezes fundacji opiekującej się dziećmi przyrzekł sobie, że nie będzie kłął.

- O co chodzi, Cade? - spytała z niepokojem.

- Sterling, jesteśmy na bezludnej wyspie. Tu nie ma żadnych ośrodków.

- Musi jakiś być.

- Przykro mi. - Nie umiał wymyślić nic lepszego.

- Jeśli nie ma ośrodka, to gdzie będziemy mieszkać? -

Popatrzyła na niego badawczo. - W hotelu?

Wbił czubek buta w piasek.

- Tutaj.

Zmarszczyła czoło, jednak widział, że prawda jeszcze do niej nie dotarła.

- Tutaj, na plaży - powiedział. - Albo trochę dalej od brzegu, między drzewami. Musimy urządzić sobie obóz.

Oczy jej się rozszerzyły.

- Chcesz powiedzieć, że będziemy spać w namiocie?

- Namiot to byłby luksus. To ma być szkoła przetrwania, nie pamiętasz? Henry tak to wymyślił. Mamy poradzić sobie z przeciwnościami i przeżyć.

- Zapuszkuj mnie w nędznym motelu bez serwisu pokojowego, a pokażę ci moje zdolności przetrwania. To jest niehumanitarne! - W jej tonie zabrzmiała panika. - A gdzie są... wygody?

- Masz na myśli toaletę? Kiwnęła głową.

- Gdzie tylko zechcesz, Sterling.

- Chcesz powiedzieć... w dziczy?

- Tak, w dziczy. - Spojrzał na Cynthię. Była tak przerażona, że zrobiło mu się jej żal. - Ale tu wcale nie jest tak strasznie. W porównaniu z amazońską dżunglą czy arktycznym pustkowiem...

- Mój Boże... - szepnęła. - Żadnej cywilizacji... Zaraz zaczniesz tupać, wrzeszczeć, ciskać czym popadnie.

Był tego pewien.

- Sterling, posłuchaj...

- Jak Henry mógł nam to zrobić?! - krzyknęła. - Jak mógł to zrobić mnie? - Jej oczy nabrzmiały łzami. - Jest moim przyjacielem, bratem...

Zrobił krok w jej stronę, zatrzymał się. Nie wiedział, jak się zachować. Przytulić? Mogłaby to źle zrozumieć.

- Sterling...

- Henry mówił, że to będzie świetna przygoda. Lubię takie akcje, ale... - Zamrugnęła. - Jak mógł? Przecież wie, że nigdy nie wyjeżdżałam pod namiot.

Było mu jej żal. Dla wychuchanej, rozpieszczonej kobietki to musiało być straszne.

- Nie martw się, będzie dobrze.

- Nie będzie. - Popatrzyła na niego z lękiem. - Nie chcę umrzeć w tej dziczy.

- To nam nie grozi. - Krzepiąco ujął jej dłoń. - Od małego uprawiam turystykę, chodzę po górach, wspinam się. Mam doświadczenie w tych sprawach.

- Czyli wiesz, co trzeba robić?

- Wiem, Zobaczysz, dam... damy sobie radę.

Obdarzyła go promiennym uśmiechem. W jej oczach wyrósł na bohatera. Czyżby o to chodziło Henry'emu? Nieważne. Liczyło się to, że naprawdę był doświadczonym turystą, dlatego nie obawiał się pobytu na wyspie. Organizował też obozy wędrownie dla dzieci, nauczył się więc opiekować osobami, które źle sobie radzą w trudnych warunkach. Wiedział już, że z Cynthią trzeba być łagodnym, wręcz delikatnym.

Tak jak delikatną miała skórę...

Pośpiesznie puścił jej dłoń.

- Zajrzyjmy, co jest w tych skrzyniach - powiedział.

W pierwszej znaleźli papier toaletowy, serwetki, koc, kłębek sznurka, brezent, dwa ręczniki i myjki, przybory do jedzenia, dwa garnki, dwa kubki, dwa talerze, torebkę z zapalkami, dwie peleryny, dwie latarki i zestaw pierwszej pomocy.

- Żadnego jedzenia - mruknął.

- Będzie w drugiej skrzyni - powiedziała niepewnie Cynthia.

Znaleźli w niej jednak tylko radio na baterie, mikrofon, krem z filtrem, pomadkę ochronną, pojemnik ryżu, drugi pojemnik z kawą, słoiczek multiwitaminy, sól, pieprz, dwa wiadra i dwie manierki. Na spodzie leżał list od Henry'ego.

Do moich wybrańców fortuny.

Witajcie na wyspie Davenport. Nabyłem ją specjalnie z myślą o Waszej przygodzie, więc cieszcie się i korzystajcie ze wszystkich dobrodziejstw, jakie Wam ofiaruje. W skrzyniach znajdziecie podstawowe wyposażenie na dobry początek



Resztą musicie znaleźć, wytworzyć lub wygrać w konkursach. Będzie ich kilka. Zwycięzca otrzyma nagrodę. Za tymi drzewami jest zbiornik na wodę, przy nim mapa wskazująca drogę do źródła. Radzę pić tylko przegotowaną wodę. Nie przychodzi mi na myśl, co jeszcze mógłbym dodać. Może poza tym, że deszcze są tu ulewne, więc jak najszybciej zatroszczcie się o schronienie. Dobrej zabawy, przyjaciele. Do zobaczenia jutro.

Wszystkiego najlepszego, H.

- Jego powinno się tu wysłać! - warknął Cade. - A to skur... skórkowaniec.

- Nie zostawił nam żadnego jedzenia - szepnęła Cynthia. - Tylko ryż...

- Nie przejmuj się, przecież skombinowaliśmy trochę prowiantu - powiedział spokojnie, by wlać w nią otuchę. Otworzył plecak i wyjął pomarańczę, torbę krakersów, słoik masła orzechowego, dwie puszki pomidorów i trzy puszki fasoli. - Nie będziemy skazani na korzonki, jaszczurki i inne świństwa. A ty co zwędziłaś?

- Bardziej myślałam o... o przysmakach...

- I co? Pokaż, co zabrałaś. - Bezwiednie podniósł głos. Niepotrzebnie. I tak wiedziała, że wyszła na idiotkę. Przysmaki... A niech tam, byle się nie załamała. - Wszystko się przyda, Sterling.

Wyjęła z plecaka słoiczek nadziewanych oliwek. Sam by tego nie brał, ale jeszcze ujdzie.

- Świetnie - powiedział z uśmiechem.

Zachęcona jego aprobatą, wyciągnęła butelkę z przezroczystym płynem.

- Co to takiego? - zapytał.

- Dżin - stwierdziła z dumą. - Będziemy mogli robić sobie martini.

Martini? Zamiast tej butli zmieściłaby kilka puszek z fasolą... Opanował się z trudem, a nawet się uśmiechnął.

- Ja bym na to nie wpadł.

- Pomyślałeś o słodyczach? - Wyjęła trzy batoniki. - Nie umiem bez nich żyć.

Wypuścił głośno powietrze. Wypiją dzin, zakąszą batonikami, wyśpią się porządnie, by wyleczyć kaca, a na koniec umrą z głodu. I po szkole przetrwania.

Cynthia wyłożyła jeszcze puszczkę mandarynek, cztery wafelki i gruszkę.

- Nie jest dojrziała, ale pomyślałam, że dłużej wytrzyma. Trochę lepiej, pomyślał.

- Bardzo dobrze - oznajmił z pedagogicznym entuzjazmem.

- I jeszcze coś, czego nie mogłam sobie odmówić... - Z bocznej kieszeni wyjęła puszczkę.

- Tuńczyk - zgadywał.

- Nie, kawior. Wprawdzie nie bieluga, ale obleci. Wolałby tuńczyka, ale kawiozem też nie wzgardzi.

- Spakujmy zapasy do skrzynki. Cynthia spojrzała na niego z uwagą.

- Zawiodłam cię - powiedziała niespokojnie.

- Ależ skąd.

- Jesteś rozczarowany. - Jej wargi zadrżały. Zamrugowała. Raz, potem drugi.

- Sterling, świetnie się sprawiłaś. Naprawdę.

- Wiem, że nie. - W jej oczach pojawiły się łzy.

- Proszę cię, nie płacz. .

Za późno, bo łzy płynęły już wartką strugą.

- Przepraszam - wydukała.

- Bardzo dobrze się postarałaś. Rano zjemy wafelki. To będzie wspaniałe śniadanie.

Nie mógł patrzeć na jej łzy. Zawsze tak reagował. Płacząca siostra po kolejnej kłótni rodziców, płaczące dzieci z fundacji... i on, wieczny pocieszyciel. Sięgnął do skrzynki po serwetkę.

Cynthia otarta twarz. Rozmazany makijaż, zaczerwienione oczy. Już nie wyglądała jak z żurnala, lecz jak bezbronna, przestraszona dziewczynka. Ogarnęło go poczucie winy.

- Przepraszam, że przeze mnie płakałaś.

- To ja przepraszam. Za płacz i za to, że wzięłam tylko takie bzdury. - Pociągnęła nosem. - Nie tak to sobie wyobrażałam. Wszystko jest nie tak. A gdy się czuję nieswojo, zwykle zbiera mi się na płacz i nie mogę się opanować.

Czyli czternaście dni szlochów. Gorące dzięki, Henry.

Jednak najważniejszy był spokój. Nauczył się tego w fundacji. Będzie traktować Sterling jak dzieciaka, który jest pod jego opieką.

Jest tylko jeden problem. Sterling nie wygląda jak mała dziewczynka.

- Nie martw się, szybko się oswoisz. - Takim samym tonem zwracał się do Jimmy'ego, który w połowie wspinaczki stwierdził, że ma lęk wysokości. - Po kilku dniach poczujesz się tu jak w domu. Możesz mi wierzyć.

- Wierzę ci, Cade.

Patrzyła mu prosto w oczy. Widział, że mówiła prawdę. Dlaczego mu wierzy? Przecież go nie zna. Maggie знаła go jak własną kieszeń, a jednak to nie wystarczyło.

Rozejrzył się wokół.

- Musimy zbudować sobie jakieś schronienie.

- Nigdy tego nie robiłam.

- Zawsze jest ten pierwszy raz.

- No tak. - Wyprostowała ramiona. - To co mam robić?

- Naznoś jak najwięcej gałęzi. Bambus też się przyda. -  
Wskazał na polankę wśród drzew. - Tam je składaj. Pozbieraj  
wszystko, co według ciebie się nada.

- Dobrze - rzekła energicznie.

Wzięła się w garść. A więc robiła postępy. Sięgnął po  
mapę.

- Pójdę poszukać wody. Lepiej zrobić to za dnia. Podała  
mu dwa wiadra.

- Tylko się nie zgub.

Powiedziała to lekko, lecz jej oczy wpatrywały się w  
niego z powagą. Martwi się o niego czy o siebie? Pewnie i  
jedno, i drugie.

- To nie powinno być daleko.

Zacząła zbierać gałęzie. Jej entuzjazm szczerze go  
zaskoczył.

- Cade, lepiej już idź.

- Nie bój się. Nic ci tu nie grozi.

Kiwnęła głową. Starła się być dzielna, czym zdobyła jego  
uznanie. Może zbyt powierzchownie ją ocenił? Ruszył przed  
siebie.

- Och, nie! - dobiegł go okrzyk Cynthii. Obejrzał się za  
siebie.

- Co się stało?

- Złamałam paznokiec. - Podniosła rękę w górę. - Może  
masz przybory do manikiuru?

Chyba się jednak pośpieszył. Nabrał powietrza, by się  
opanować.

- Nie, ale mam szwajcarski scyzoryk.

Marzyła, by usiąść, ale się bała, że jeśli to zrobi, nie zdoła  
się już nigdy podnieść. Bolały ją wszystkie mięśnie, stopy  
paliły ogniem. Tyle godzin harówki, a końca nie widać.

Otarła brudne, spocone czoło. Marzyła o prysznicu,  
masażu i wygodnym, przytulnym łóżeczku!

- Dobrze się czujesz? - kolejny raz zapytał Cade. Chciała umrzeć.

- Świetnie - odparła z bladym uśmiechem.

- Dużo pij, żeby się nie odwodnić.

Skinęła głową. Świat wokół wirował. Sięgnęła po manierkę, przytknęła ją do spierzchniętych ust. Chłodna woda orzeźwiła ją. Gdyby jeszcze dało się włączyć klimatyzację...

- Jeśli jesteś zmęczona, zrób sobie przerwę.

Nie ma mowy, by pierwsza się poddała. Łzy nie zrobiły na Cadzie żadnego wrażenia, ale widziała jego zaskoczenie, gdy zaoferowała pomoc. Prawdę mówiąc, zrobiła to wyłącznie z grzeczności. Nie sądziła, że przyjmie propozycję. Mężczyźni zwykle chcieli, by tylko siedziała i pięknie wyglądała. Zachowanie Cade'a było dla niej zupełnie nowym doświadczeniem.

- Odpocznijmy razem, gdy skończymy.

Czyli nigdy...

Domek wciąż nie był gotowy, a Cynthia miała cztery złamane paznokcie i podrapane ręce. Po dwóch tygodniach zostanie z niej strzęp człowieka. Nie chciała nawet myśleć, co zdarzy się jutro czy pojutrze. Nie ma się co oszukiwać - nie przetrwa czternastu dni. Będzie dziękować Bogu, jeśli dożyje do jutra.

Co z tego, że wyspa wygląda jak tropikalny raj? Bez fryzjera, manikiurzystki, masażu i klimatyzacji stawała się piekłem. Lepiej zapomnieć o planach związanych z Cade'em. Jak ma suszyć włosy, jak się myć? Na samą myśl, że przez dwa tygodnie się nie wykąpie, robiło się jej słabo. Jak w takich warunkach kogoś uwodzić?

Ci z „Survivara” przynajmniej zdobyli rozgłos, bo program oglądały miliony ludzi. Niektórym zawodniczkom nawet było do twarzy bez makijażu.

Zesztywniała. A co z jej makijażem? W tej temperaturze i wilgotności?

Czarna rozpacz. Cade nie tylko jej nie pokocha, ale poczuje do niej wstręt!

Co ten Henry sobie wyobrażał? Rozbudził w niej nadzieje, ale marzenia przysły jak bańka mydlana. Zabije go. Jeszcze kiedyś wyrówna z nim rachunki.

Jak mógł z nią tak postąpić!

Podniosła wzrok. Cade pracował bez chwili wytchnienia. Stał odwrócony tyłem. Popatrzyła na niego.

Zdjął koszulę. Skóra błyszczała od potu. To nawet się jej podobało. Napięte mięśnie, zgrabna, mocna sylwetka. Całkiem niezły, oceniła.

- Możesz to potrzymać? - zapytał. Odłożyła manierkę i szybko podeszła do niego. - Co?

- Schwyćmy razem te gałęzie.

- W taki sposób?

Położył ręce na jej dłoniach. Były szorstkie i brudne, ale wcale jej to nie przeszkadzało.

- Tak, tylko... - Zmienił jej uchwyt. - Tak będzie ci łatwiej.

Ciepło biło od jego rąk, jego oddechu. Bez okularów wydawał się jeszcze bardziej przystojny i męski. Serce zabiło jej mocniej...

Musiała się opanować. Nie powinien tak na nią działać.

- Sterling, trzymasz mocno?

- Tak - wybąkała. Czowała się jak spłoszona studentka oczarowana kolegą ze starszego roku. Całkiem przyjemne uczucie. Nie, nic z tych rzeczy. Taki układ odpada. Musi myśleć o swoich przyszłych dzieciach, o ich szczęściu, a nie zapominać o całym świecie dla jakiegoś faceta. Rodzice nie powinni zbyt mocno się kochać, bo wtedy zaniedbują dzieci. Coś o tym wiedziała.

- Zrobimy z nich ściany. Podłogę wyłożymy pędami bambusa i przykryjemy brezentem. Dach uszczelnię pelerynami. Powinny wytrzymać ulewę.

Naprawdę zna się na rzeczy. Kamień spadł jej z serca. Może nie będzie tak źle? Pewnie w swojej firmie czy na sali sądowej też świetnie sobie radzi. A za ileś tam lat w Owalnym Gabinecie...

- Już. - Skończył wiązać sznurek. - Dziękuję.

- Bardzo proszę. Popatrzył na nią uważnie.

- Możesz już puścić.

Co z jej oddechem? Gdy Cade jest tak blisko, dzieje się z nią coś dziwnego. Musi to zwalczyć. Gwałtownie cofnęła ręce.

- Przepraszam.

- Nie ma za co.

Nie śmiał się, lecz widziała po jego oczach, że się ubawił. Znowu poczuła się jak nastolatka, czyli okropnie. Wtedy wydawała się sobie za chuda, za wysoka, za brzydka. Podobna do taty. Przez lata doskonaliła swój wygląd, aż stała się jak mama. Choć za nic nie chciała zachowywać się jak rodzice. Westchnęła.

Cade popatrzył na nią badawczo.

- Coś nie tak?

- Wszystko w porządku... Otarł ręce o szorty

- To dobrze. Więc co powiesz?

Że jesteś super, przebiegło jej przez myśl. Oczywiście zachowała to dla siebie. Raczej nie tego oczekiwał.

- O czym?

- O naszym szałasie. Może nie wygląda najlepiej, ale przez najbliższe dwa tygodnie będzie naszym domem.

Klasnęła, teatralnym gestem przycisnęła ręce do piersi.

- Nasz pierwszy wspólny dom!

- Chyba nie spodziewasz się, że przeniosę cię przez próg.

- Przecież tu nie ma progu.

- Nie ma.

Uniósł kąćki ust. Tak jest dużo lepiej. Gdy się uśmiechał, stawał się bardziej przystępny. Stanowczo wołała, by Cade był miłym, poczciwym misiem, a nie budzącym lęk grizzly.

- To jak uczymy taką okazję? - zapytała.

- Kolacją?

- Nie, to zbyt banalne. - Zwilżyła językiem usta. Ciekawe, czy ze szminki coś zostało. - Może martini o zachodzie słońca?

- Do martini potrzebny jest wermut.

- No to dżin i oliwki. Zadowolę się byle czym. Popatrzył na nią z determinacją.

- Na to liczę.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Koło południa niebo zaciągnęło się ciemnymi chmurami. Cade sięgnął po ostatnią gałąź.

- Musimy się pośpieszyć.

Cynthia otarła usta wierzchem dłoni. Po szmince nie zostało śladu. Ale te spierzchnięte wargi podobały mu się znacznie bardziej. Wyglądały naturalnie, nie jak po zabiegu z kolagenem. Ciekawe, jaki miały smak?

Co też mu chodzi po głowie? Nie będzie żadnych pocałunków. Nigdy.

- Czemu mamy się tak śpieszyć? - zapytała.

- Z powodu deszczu.

- W tropikach pada codziennie. - Pokręciła korek manierki. - Jest tak gorąco i wilgotno, że deszcz dobrze robi. Poprawi powietrze. Gdy byłam na Antigui...

- Sterling, jesteśmy na południowym Pacyfiku. Karaiby są daleko stąd. - Jeśli liczyła na orzeźwiający deszczyk, to srodze się zawiedzie. - Szykuje się burza.

- Nie, na pewno nie. Nie będzie żadnej burzy.

Wiedział, że pogoda zaraz się załamie, może nawet nadciągał tajfun, musiał więc jakoś zmobilizować Cynthię do pracy, nie strasząc jej przy tym zbyt. -

- Może nie, ale jeśli chcemy o zachodzie napić się dzinu, musimy dokończyć szałas, rozpalić ogień i zabezpieczyć nasze zapasy.

- Dlaczego od razu tak nie mówiłeś? - Wytarła dłonie o przybrudzone szorty. - No to co mam robić?

- Podawaj gałęzie palmowe, zrobię z nich dach.

- Nie ma problemu.

Dla niej nie ma. Bo sama jest problemem. Dla niego.

Fakt, okazała się bardziej chętna do pomocy, niż się spodziewał. Pracowała równo z nim. Pozbierała gałęzie, pomagała przy budowie szałasu. Tylko cały czas traktowała to

jak zabawę. Jakby byli na luksusowych wczasach i robili to dla rozrywki. A stawką jest przetrwanie przez dwa tygodnie. Nie ma w tym nic zabawnego. Kiedy wreszcie to do niej dotrze?

Podawała mu następną gałąź.

- Nie sądzisz, że byłoby miło, gdybyśmy się lepiej poznali?

Miło? Takiego określenia z pewnością by nie użył. Cade, opamiętaj się. Potrzebujesz jej. Przez cały czas musi o tym pamiętać. Bez niej fundacja zbankrutuje.

- Co masz na myśli?

- Możemy zadawać sobie pytania albo grać w skojarzenia.

Zabij mnie, kobieto! - warknął w duchu. Nie cierpiał tych kretyńskich rozrywek, w których gustowały zidiociale od dobrobytu panienki. Jeszcze bardziej zwiększył tempo pracy.

- Zgódź się, Cade, będzie dobra zabawa. Zabawa? Znienawidził to słowo.

- Hm...

- Chcesz, żebym zaczęła?

Skończył przywiązywać gałąź. Podawała mu następną. Docenił to. Przynajmniej nie musi co chwila jej mówić, co ma robić.

- Dobrze, zaczynaj.

- Henry.

- Egocentryk i egoista. Pora, by poznał prawdziwe życie.

- Twoja kolej - rzekła. Nie miał wyjścia.

- Henry.

- Szczęśliwy, fajny, bogaty. - Położyła gałąź na właściwym miejscu. - Dzieci.

- Wspaniałe, niesamowite, wymagają poświęcenia, pracy i uwagi. - Przymocował gałąź. - Dzieci.

- Buziaki, czułość, miłość. - Niecierpliwym gestem odrzuciła włosy. - Pieniądze.

- Zło, korupcja, zniszczenie. - W tym tempie powinni zdążyć przed burzą. Tylko jak on wytrzyma z Cynthią w ciasnym szałasie... Może powinien spać na zewnątrz? - Pieniądze.

Na chwilę przymknęła oczy, zadumała się.

- Potrzebne, ważne, dają bezpieczeństwo.

Ledwie zdusił zjadliwy chichot. Cóż, pod każdym względem stanowią dokładne przeciwieństwo. Trudno. Ważne, by razem przetrwać te dwa tygodnie. Potem już nigdy jej nie zobaczy.

- Musimy ułożyć na dachu jeszcze jedną warstwę. Podała mu gałąź.

- Małżeństwo.

Sznurek pękł. Cade wypuścił powietrze. Miał dość tej gry.

- Nie mam zdania.

- Każdy coś sądzi o małżeństwie.

- Ja nie. - Przywiązał gałąź.

- Dlaczego? - Uniosła brwi.

Chciał wziąć od niej gałąź, lecz nie puszczała.

- Dlaczego chcesz wyjść za małż? - zapytał.

Twarz jej się rozmarzyła. Wydawała się teraz młodsza, wręcz niewinna. Nowe oblicze Cynthii Sterling... Gdyby kiedyś Kelsey organizowała jej ślub, zbiłaby majątek.

- Małżeństwo to początek czegoś nowego i cudownego.

- Oczy jej błyszczały, uśmiechała się słodko. - Zyskujesz poczucie bezpieczeństwa, współtworzysz rodzinę. Czy może być coś lepszego?

- Pięknie brzmi, ale dla mnie to abstrakcja. - Umocował gałąź. - Małżeństwo moich rodziców było zupełnie inne.

- Być może jego byłoby takie, o jakim mówiła Cynthia, gdyby nie okazał się skończonym głupcem.

- Moi rodzice świata poza sobą nie widzą. Oprócz nich samych nic dla nich nie istnieje. Aż do przesady - wyznała.

- Ale musi być coś pośrodku, coś bardziej wyważonego.
- Być może.

Pomyślał o Maggie. Dziewczyna z jego snów. Kiedyś, bo teraz nazywa się Maggie Donovan, ma męża i dwójkę dzieci.

- Cade?

- Przepraszam. Mówiłaś coś?

- Na pewno zmienisz zdanie, gdy poznasz właściwą osobę.

- Już ją spotkałem.

Jej ręka podnosząca ogromną gałąź zastygła.

- Już ją spotkałeś?

- Tak.

Uśmiech opromieniał jej brudną, zaróżowioną od wysiłku buzię. Bez makijażu całkiem z niej miła dziewczyna, pomyślał.

- Tę właściwą?

- Uhm. Jedyłą.

Zacząła coś mówić, ale urwała w pół słowa i niecierpliwie odgarnęła włosy.

- Jakie będzie twoje kolejne posunięcie?

- Żadne. - Popatrzył na szalę. Dobrze byłoby ułożyć trzecią warstwę liści, ale nie zdążą.

- Dlaczego? - nalegała. Rozłożył pelerynę.

- O co ci chodzi?

- Dlaczego nie będzie kolejnego kroku?

Wolał nie odpowiadać. Zerknął na Cynthię. Błąd. Nie odrywała od niego oczu, czekała na odpowiedź. Nie miała prawa mieszać się w jego prywatne życie, ale była zawzięta jak diabli. Nie da mu żyć, póki wszystkiego z niego nie wyciągnie. Może lepiej od razu wyłożyć kawę na ławę.

- Jest zajęta.

- Nie, nie jest - szybko zaprzeczyła.

- Owszem, jest. - Nadal uszczelniał dach. - Zależało mi, by Maggie podpisała umowę przedślubną, ale się nie zgodziła.

- Maggie?

- Tak, Maggie.

- Aha. - Wbiła wzrok w ziemię. - Ale co to za problem podpisać umowę przedślubną? Przecież to oczywiste, że chcesz się zabezpieczyć.

A jednak Maggie uznała to za brak zaufania, asekurację na wypadek rozwodu. Za dowód, że pieniądze są dla niego ważniejsze od miłości.

- Dla Maggie nie było oczywiste, dlatego zerwała ze mną. Nim zrozumiałem swój błąd, poznała kogoś innego. Teraz jest mężatką z dwójką dzieci.

Kilka miesięcy temu przysłała mu kartkę na Boże Narodzenie. Zdjęcie z mężem i dziećmi. To był prawdziwy cios. Już myśl, że ma dzieci z innym, była nie do zniesienia, ale zobaczyć czarno na białym... Zlustrował dach szałas.

- Daj drugą pelerynę.

Cynthia z ponurą miną wykonała jego polecenie.

- Przepraszam. Nie chciałam...

- Nie ma sprawy. - Przymocował pelerynę gałęziami. - Pewnie jesteś padnięta.

- Przepraszam, że tak naciskałam z tą Maggie... W jej głosie dosłyszał nutę żalu.

- Nie sprowokowałaś tego tematu. Już wcześniej o niej myślałem.

- Dzisiaj?

- Mhm. Byłaby zachwycona taką przygodą. Uwielbia włóczyć się po dzikich, odludnych terenach. Góry, lasy... Gdy tylko czas nam pozwalał, pakowaliśmy plecaki i ruszaliśmy w drogę.

- Z własnej woli?! - Była bezgranicznie zdumiona. Uśmiechnął się.

- Nie od razu. Ale z czasem Maggie mnie przekabaciła. Cynthia pobladała.

- Nic ci nie jest? - Oby tylko nie zemdląła ze zmęczenia. Uśmiechnęła się blado.

- Nie. Nie martw się.

- No to bierzmy się do roboty.

Z niepokojem popatrzyła na ołowiane chmury. W powietrzu czuło się deszcz. Cade miał rację. Chyba nadciąga burza. Piękny akcent na zakończenie koszmarnego dnia.

Sięgnęła po radio i niewiele brakowało, by upuściła je na ziemię. Dłonie paliły z bólu. A radio to jedyny kontakt z Henrym.

Jeśli naprawdę rozpęta się burza, wezwie go, by ich stąd zabrał. To wszystko jego wina. Odciągnął ją od Trávisa i omamił cudownymi wakacjami na tropikalnej wyspie. Czy to dziwne, że czuje się oszukana? Miało być inaczej.

Włożyła radio do skrzynki. Tu chyba nie zamoknie. Za to ona z pewnością. Do tego wszystko ją boli, jest brudna i głodna. Co ten Henry sobie wymyślił?

Chciał ją wyswatać z Cade'em, w porządku. Ale ta rajska wyspa? Zaiste, prawdziwy raj! Gdzie kelnerzy, wykwintne jedzenie i drinki, gdzie klimatyzacja? No i te czarne chmury... Piekło, nie raj!

Zwiesiła ramiona. Co ją teraz obchodzi ładna sylwetka?

Cade już spotkał swoją wymarzoną dziewczynę, chodzący ideał, miłośniczkę dzikich ostępów. Dla Maggie ta wyspa byłaby spełnieniem marzeń. A ona nie może się doczekać, kiedy wreszcie uda się jej stąd wyrwać. Nie ma szans, by Cade kiedykolwiek się w niej zakochał.

To jasne jak słońce. Opuściła wzrok.

Dłonie, jej piękne dłonie, z których była taka dumna... Jedna wielka szrama, połamane paznokcie... Zaraz się rozpłacze.

- Jak ci idzie? - spytał Cade.
- Dobrze. - Uśmiechnęła się z przymusem.
- Kończysz?

Kiwnęła głową. Chwyciła patelnię i skrzywiła się z bólu, tak bardzo bolały ją ręce. W ostatniej chwili się powstrzymała, by nie rzucić jej do skrzyni. Mogłaby uszkodzić radio!

Patrzyła na niego, jak szycował ognisko. Działał rozważnie, nie wykonywał żadnych zbędnych ruchów. Kosmyk włosów opadł mu na czoło. Chętnie by go odgarnęła. Nie, to się nie stanie. Na pewno nie na jawie.

Schyliła się po apteczkę, ale nie odrywała oczu od Cade'a. Pięknie wyglądał w poszarpanym, brudnym podkoszulku. Te mięśnie... Ciekawe, że dotąd nie gustowała w takich typach. Co zrozumiałe, bo traperskie przygody nigdy jej nie pociągały. Nie to, co Maggie.

Są z innej gliny. Maggie jest zahartowana, nie boi się trudnych warunków, za to Cynthia na pewno nie byłaby tak głupia, by robić problemy z intercyzą.

- Musimy się pośpieszyć. - Cade właśnie skończył otaczać ognisko kamieniami.

Jeszcze bardziej? Ręce ją bolały, zeszywniały mięśnie karku... Mogliby trochę zwolnić, odpocząć, nacieszyć się cudownym zapachem hibiskusa. Ale jemu w to graj, lubi ostre wyzwania.

- Przecież jeszcze nie pada.
- Ale zaraz zacznie.

Poczuła na sobie spojrzenie jego pięknych, intensywnie niebieskich oczu. I te rzęsy... He by dała, by takie mieć! Dopiero teraz je zauważyła. Chyba nie pasowały do męskich, twardych rysów... nie, pasowały wręcz rewelacyjnie.

Nagle ją oświeciło.

- Co zrobiłeś z okularami?

Zapalił zapałkę; zamigotały nieśmiałe płomyki ognia. Będzie można zagrzać puszkę z fasolką. Była taka głodna... i marzyła o konserwie... Ona, bywalczyni najwykwintniejszych przyjęć!

- Słucham?

- Zgubiłeś okulary?

- Nie, schowałem. Mam sokoli wzrok.

- To po co je nosisz? - Była zdumiona.

- Mają powłokę odbijającą światło, więc zdjęcia z fleszem wychodzą fatalnie, nie do publikacji. Dzięki temu mam spokój.

- Nie rozumiem...

- Jak się nosi takie nazwisko, paparazzi wciąż polują na ciebie.

- A ty tego nie lubisz? - Ona lubiła.

- Nie cierpię. - Pierwsze krople deszczu upadły na ziemię.

- Szybko, musimy zabezpieczyć skrzynki.

Złapała za wieko i przecięła sobie prawą dłoń. Nawet nie pisnęła. Zamknęła skrzynię. Krew ciekła po palcach, kapnęła na pokrywę. Może Cade niczego nie zauważy?

Pośpiesznie nakrył wieka plastikową osłoną.

- Unieś lekko skrzynię, to wsunę róg pod spód - poprosił.

Jakoś udało się jej to zrobić.

- Do diabła, co ci się stało? Schowała rękę za siebie.

- Skaleczyłam się.

- Pokaż.

Udała, że nie słyszy. Może da jej spokój.

- Sterling...

Nim zdążyła odpowiedzieć, deszcz zamienił się w ulewę.

- Cholera! - zaklął Cade. - Wchodź do środka. Sam to zrobię.

Zawahała się, ale rozsądek wziął górę. Z tymi rękami i tak niewiele mogła pomóc. Weszła do szałas.



We wnętrzu panował ponury półmrok. Mimowolnie przypomniawszy sobie czasy, gdy razem z rodzicami mieszkała w samochodzie. Najchętniej natychmiast by się stąd wycofała, nawet jeśli na dworze lało jak z cebra.

Zapaliła latarkę i przyjrzała się wnętrzu. Ściany i dach z palmowych liści, podłoga wyłożona bambusem i przykryta brezentowym płótnem. Jest nisko, więc trzeba uważać na głowę, do tego ciasno i twardo.

Cynthia ociekała wodą, która mieszała się z krwią kapiącą z ręki. Kilka godzin temu myślała, że już nie może być gorzej, ale myliła się. Dopiero teraz zaczyna się piekło. Cade wślizgnął się do szałasów i zrobiło się jeszcze ciasniej. Jutro muszą coś zmienić, rozbudować domek. Co też jej się roi? Jutro jej tutaj nie będzie.

Spostrzegła, że Cade trzyma w rękach apteczkę i butelkę dzinu. Chętnie się napije, bardzo tego potrzebowała.

- Zapomniałeś o oliwkach. Cade spochnął.

- Nie będziemy robić martini, tylko opatrzymy ci ranę. Alkohol posłuży do dezynfekcji. Potem obandażuję ci rękę.

Rękę. Jeszcze nie wie, że obie dłonie były do niczego. Opuściła je na kolana.

- Daj, sama to zrobię.

- Mnie będzie łatwiej. - Odwinął kawałek brezentu z podłogi. - Pokaż rękę.

Położyła je na bambusowej podłodze. Wierzchem do góry.

- Odwróć je.

Jego ton nie zachęcał do dyskusji, więc wykonała, co kazał. Skaleczenia, zadrapania, krew... Cade zamknął oczy. Zgasła latarkę.

- Tak wyglądają, że zrobiło ci się słabo. Nie odpowiedział.

No cóż, nie był to miły widok, a mówiąc szczerze, wzbudzał wstręt. Cynthia westchnęła. Ciemność, deszcz

bijący o cienkie ściany nędznego szałas, i rozwiewająca się jak dym na wietrze nadzieja. Widać zapisano u góry, że zostanie starą panną. Zaopiekuje się kotami rodziców, a potem, gdy po kolei wyzdychają, nic, tylko samotność...

- Nie chodzi o ciebie.

Popatrzyła na niego, lecz w ciemności nie mogła dojrzeć jego twarzy.

- A o kogo?

- O mnie. Mam uraz na punkcie krwi. Włączyła latarkę. Miał zamknięte oczy, był blady.

- Powiedz mi.

- Nie, to nic takiego.

- Powiedz, proszę. - A więc nie tylko ona ma swoje słabości. Coś ich łączy. Powróciła jej nadzieja. - Słyszałam o lekarzach, którzy mdleją na widok krwi.

- Ja nie mdleję. Krew w niewielkich ilościach w ogóle na mnie nie działa. Gdy moja siostra miała sześć lat, rozcięła sobie brodę o deskę do pływania. Wszystko było we krwi. Woda, Kelsey...

- Czyli tak reagujesz tylko wtedy, gdy krwi jest dużo?

- Nie znoszę też igieł. Ale to nie problem. - Zerknął na jej rękę. - Widzisz? Nic się nie dzieje. Jesteś gotowa?

Kiwnęła głową i Cade przechylił butelkę. Szczypało jak diabli. Wypuściła głośno powietrze, ale nie jęknęła. Skoro on wytrzymał, to i ona zaciśnie zęby.

- Poczekaj, aż wyschną - polecił. - Bardzo piecze?

- W ogóle. Pytająco uniósł brew.

- No, może trochę. Ale to nic takiego.

- Powinnaś przestać pracować, gdy zrobiły ci się pierwsze pęcherze.

- A co, miałam siedzieć i patrzeć? - burknęła. Znów zbierało się jej na płacz. Tak się starała, a Cade jest nią rozczarowany. Maggie sama zbudowałaaby szałas, i to bez

jednego zadrapania. O ona co? Wyczerpana, skołtuniona, pokaleczona, a jej praca była warta tyle co nic...

- Wiem, że wyglądam okropnie - wydusiła i od razu poczuła ulgę. Całe popołudnie zmagala się z tym przeświadczeniem. I tak było niemal przez całe życie. - Ręce, włosy, wszystko.

- Sterling, nawet gdybyś bardzo się starała, nie możesz wyglądać okropnie.

Ludzie, a już zwłaszcza mężczyźni, potrafią kłamać bez mrugnięcia oka, by tylko dopiąć swego. Cade jest zafascynowany tą cholerną wyspą, wszystko mu się podoba. Ale nie trafił na naiwną. Miała w nosie takie pocieszenia.

- Tylko tak mówisz. Popatrz na mnie. Przyjrzał się jej uważnie.

Siedziała po turecku, z rękami na kolanach. Mokre od deszczu włosy, sterczące w różne strony kosmyki. Wygląda jak zmokły kot, pomyślał.... jak śliczny mokry kot.

Uśmiechnął się.

Buzia bez śladu makijażu, pobrudzone policzki, delikatne piegi nie ukryte pod warstwą pudru. Fajna, trochę łobuzowata dziewczyna z sąsiedztwa... o fantastycznej figurze bezwstydnie rysującej się pod mokrym ubraniem. Wysportowana, o sprężystych mięśniach, a przy tym cudownie kobieca.

Odwrócił wzrok.

Skoncentrował się na jej do niedawna wypiełgnowanych dłoniach. Połamane paznokcie, rany, zadrapania, bąble. Cynthia nie była przyzwyczajona do pracy fizycznej, sporo się nacierpiała, a jednak bez słowa skargi harowała przez tyle godzin. To budzi uznanie.

- No i jak? - zapytała..

- Wcale nie wyglądasz okropnie - odrzekł.

- Po co tak bujasz?

- Powiedziałem prawdę.
- Wyglądam jak czupiradło.

Zachowywała się jak Kelsey, kiedy podtrzymywał ją na duchu, więc miał wprawę.

- Tylko dlatego, że uczciwie pracowałeś przez cały dzień. Niewiele osób tyle by z siebie dało. Nie wycofałaś się. To bardziej przemawia niż wymalowana buzia i uczesanie od drogiego fryzjera.

Przez chwilę patrzyła na niego nieufnie, jednak wreszcie się uśmiechnęła.

- Dzięki.

Podejrzanie łatwo mu poszło.

- Nie ma za co, to prawda.

Mocny poryw wiatru szarpnął szaląsem, deszcz się wzmógł. Cynthia zadrżała.

- Jest ci zimno? - zapytał.

- Trochę... Wyobrażałam sobie, że jestem na tropikalnej wyspie, upał, słońce... I nagle mi się przypomniało, że przecież jestem na takiej wyspie.

Cade uśmiechnął się. Ta Sterling jest nawet do rzeczy.

- Poczujesz się lepiej, jeśli przebierzesz się w suche ubranie.

- Ja...

- Co takiego? Popatrzyła na swoje dłonie.

- Chyba nie dam rady, strasznie bolą mnie ręce. Ale to nic, nie jest aż tak zimno.

Spostrzegł, że na ramionach ma gęsią skórę. Im szybciej pozbędzie się tych przemoczonych ciuchów, tym lepiej.

- Pomogę ci.

Uśmiechnęła się z lekkim zażenowaniem.

- Dzięki.

Nie dziękuj za szybko, przemknęło mu przez myśl. Popatrzył na jej pełny biust i ogarnęło go zwątpienie.

Nie da rady. Opamiętał się szybko. Musi jej pomóc, bo stanowią zespół. Ale to niedługo się skończy.

Nie potrafił już udawać, że Cynthia mu się nie podoba. Tak, czuł do niej pociąg fizyczny. Ale zupełnie nie jest w jego typie i to kończy całą sprawę. Między nimi nic się nie zdarzy. Musi tylko pilnować, by dotrwała do końca. Nic innego się nie liczy. Ani piękne ciało, ani blask oczekiwania w jej oczach.

Chyba sam w to nie wierzył.

- W plecaku mam podkoszulek z długim rękawem i czarne legginsy. To moje najcieplejsze rzeczy.

- Możesz włożyć moją bluzę. - Im więcej będzie miała na sobie, tym lepiej. Wsunął rękę do jej plecaka i wyciągnął małe różowe stringi. Krew odpłynęła mu z głowy. Właściwie czego się po niej spodziewał? Że będzie chodzić w barchanowych reformach?

- Nie denerwuj się. - W oczach Cynthii zapaliły się wesołe iskierki. - Nie będę prosić, byś pomógł mi je włożyć.

- Dziękuję - mruknął.

Co to miało znaczyć? Że zostanie w tym, co ma na sobie, czy w ogóle zrezygnuje z bielizny? Cholera, ta zdradliwa wyobraźnia...

- Stanik też mi nie będzie potrzebny.

Chyba chce go dobić! Ale nie, nie robiła tego rozmyślnie, czuł to. Lecz co za różnica? Odwróciła się do niego tyłem.

- Tak może być?

Nie jest naiwna. On również.

- Może być. - Zwłaszcza dla niego. Musi częściej umawiać się z dziewczynami, wtedy jego reakcje będą bardziej wyważone. - Poświecę latarką w bok.

- Dziękuję.

- Mogę też zamknąć oczy.

Zaśmiała się i ten ciepły śmiech jeszcze bardziej go rozplómił.

- To miłe, ale możesz sobie darować. Jesteśmy dorośli. Właśnie tego się obawiał. Tak, musi zacząć trochę mniej pracować i częściej bywać wśród ludzi.

Zaczął rozpinąć guziki bluzeczki i niechcący musnął skórę Cynthii. Gwałtownie wypuściła powietrze.

Cholera, tylko tego mu trzeba.

- Przepraszam, nie chciałem...

- Nie ma sprawy.

Jak dla kogo. Trwające mgnienie muśnięcie niemal go poraziło. Musiał natychmiast się opanować. To jest ta Sterling, której tak nie lubi, to ta rozpieszczona damulka. która tak go denerwuje.

Jednak prawdę mówiąc, ma swoje dobre strony. I da się ją lubić.

Cade, jesteś to dla fundacji, jesteś w pracy, a nie dla jakichś tam...

Pośpiesznie, jakby go ktoś gonił, skończył rozpinąć bluzkę, ściągnął ją i rozwiesił. Nawet dobrze mu poszło. Sięgnął po podkoszulek.

- Stanik jest całkiem przemoczony. - Zerknęła na niego przez ramię. - Zapięcie jest z przodu. Może ja sama...

- Rozepnę go.

Skoro zaczął, to skończy. Dla niego to nie pierwszozna, tylko sytuacja jakby nie ta...

Musiał dotknąć palcami jej piersi... Co za pokusa! Czy się odważy? Odważył się.

Czuł przyspieszone bicie jej serca. Znieruchomiał.

- Pomóc ci? - szepnęła. Rozpiął stanik.

- Już.

Zsunął ramiączka...

Między nimi coś jest. Aż iskrzy.

Rzucił jej podkoszulek. W ostatniej chwili uprzytomnił sobie, że Cynthia nie zdoła go ani złapać, ani włożyć. Popatrzył na nią.

Jasna, gładka jak jedwab skóra.

Zamknij oczy, przykazał sobie. Już!

Nie zrobił tego. Nie mógł. Jak urzeczony patrzył na jej plecy. Odgarnęła włosy do przodu; widział łagodnie zarysowaną linię szyi, szczupłą talię. Delikatna skóra jaśniała perłowym blaskiem. Wenus z Milo. Dzieło sztuki. Przez całą noc mógłby nie odrywać od niej oczu.

Cynthia zadrżała.

- Cade? Coś się stało?

- Nie, nic. - Pomógł jej włożyć podkoszulek i swoją bluzę. Ledwie się zmobilizował, by ściągnąć jej szorty i włożyć legginsy. Sam nie wiedział, jak mu się to udało.

- Ty się nie przebierasz? - zainteresowała się Cynthia. Powinien się raczej ochłodzić.

- Pójdę przyrządzić coś do jedzenia. Uśmiechnęła się. To dobry znak.

- Nie zapomnij o kawie. Rozgrzeje nas. Wyjrzał na zewnątrz. Deszcz lał jak z cebra.

- Sterling, ognisko zgasło. Przestała się uśmiechać.

- Ale...

W tej samej chwili szalas zachwiał się pod potężnym uderzeniem wiatru. Na szczęście gałęzie wytrzymały.

Cynthia pobladła, rozszerzone źrenice płonęły w przestraszonej twarzy. Chciał przygarnąć ją do piersi, dodać otuchy. Ale tylko poklepał ręką o kruchą ścianę.

- Szalas może nie wygląda zbyt pięknie, ale wytrzyma przez noc.

Przyciągnęła kolana do brody.

- A my? .

- Damy radę. - Okrył ją kocem. Był prawie suchy. - Jak coś przekąsisz...

Krople deszczu uderzyły go w czoło.

- Do diabła! Dach zaczyna przeciekać.

Wyciągnął z plecaka skarpetki i zatkał nimi dziurę. Woda ciekła już z kilku miejsc. Cade pośpiesznie wtykał w nie swoje rzeczy, lecz z niewielkim skutkiem.

Znowu uderzenie wiatru. Strugi wody pociekły na Cynthię.

- To na nic - powiedziała. - Nic nie pomoże.

- Będzie dobrze - odparł, zatykając kolejną dziurę.

- Nie damy rady. - Dolna warga zadrżała jej podejrzenie. - Jestem mokra i przemarznięta, mam poranione ręce. Naprawdę się starałam, ale jeszcze nigdy w życiu nie czułam się tak bezradna jak teraz.

Rozumiał ją. Sam czuł się podobnie.

- Zobaczysz, będzie lepiej. Rano...

- Nie będzie żadnego „rano”. Chcę, żeby Henry przyjechał i mnie stąd zabrał. Teraz.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Popatrzył na nią tak, że aż się wzdrygnęła.

- Jeśli teraz jest zbyt niebezpiecznie, by tu przy płynął, wyjadę z samego rana - dodała.

Deszcz wściekle siekł o szafas.

- Jest zbyt niebezpiecznie. - Rozejrzał się po wnętrzu. - Ale tu wcale nie jest tak tragicznie.

Spojrzała na przeciekający dach.

- Jeszcze chwila, a szafas się rozleci. To będzie cud, jeśli dożyję do rana.

- Gdzie się podział twój duch przygody? Zawiodła go. Wiedziała o tym, ale już się tym nie przejmowała. Najważniejsze, by się stąd wydostać.

- Dla mnie przygodą jest odkrycie nowej restauracji. To mi w zupełności wystarcza.

- A więc nie wiesz, co to jest życie.

- Mylisz się. - Nic mu nie przyjdzie z tych miłych uśmiechów i innych sztuczek. Nie da się omamić. Powiedziała mu, że jest głodna. Czemu nie poszedł po jedzenie? Musi też przynieść radio, żeby złapać kontakt z Henrym.

- Co powiedziałaś, Sterling?

- Dlaczego tak do mnie mówisz? Zapomniałeś, jak mam na imię?

- Cynthia, ale Sterling bardziej do ciebie pasuje. Kojarzysz się z eleganckim, pełnym blasku srebrem.

W innych okolicznościach te słowa sprawiłyby jej przyjemność. Ale nie teraz. Nie tutaj. I nie z jego ust.

- Nie przepadasz za mną, prawda? Cade zmarszczył czoło.

- Nie znam cię na tyle, by cię nie lubić. Wolisz, bym mówił do ciebie Cynthia?

- Mów, jak ci pasuje. - Wzruszyła ramionami.

- A więc będziesz Sterling.

Znów wzruszyła ramionami. Jutro o tej porze będzie wygodnie spała w luksusowej, a przede wszystkim suchej i ciepłej kabinie na jachcie Henry'ego, do tego wykąpana i najedzona.

- Powiedz, że zostaniesz - powiedział cichym, miękkim głosem. - Mamy okazję, by spędzić tu dwa tygodnie. Tylko ty i ja - zakończył z naciskiem.

Zadumała się. Cade jest atrakcyjny, inteligentny, bogaty, i wcale mu nie przeszkadza jej okropny wygląd. Jednak nie są sobie pisani. Za bardzo na nią działa. Wystarczy niewinne muśnięcie jego dłoni, a serce mało co nie wyskoczy jej z piersi. Miał rację, mówiąc, że prawie się nie znają. Nie powinna w taki sposób na niego reagować.

- Nie mogę tu zostać.

- Pomyśl, ile stracisz, jeśli się wycofasz. Straci? Jedynie ten koszmar na jawie.

- Chcę wrócić do domu.

- Przepadnie twoja nagroda.

- To pewnie jakaś kosztowna bzdura. Mam tego aż nadto.

- Henry już nigdy cię nie zaprosi na urodzinowe party.

- Jesteśmy bardzo zżyci. Zaprosi mnie tak czy inaczej.

- Jego reguły są ściśle określone. .

Mówi jak adwokat. Byłby z niego świetny polityk. Tym bardziej szkoda, że nie będzie stała u jego boku.

- Zasady są po to, żeby je łamać. Zwłaszcza jego zasady.

- Gdyby nie traktował ich poważnie, te jego przygody nie miałyby żadnego sensu - rzeki z naciskiem.

Wiedziała, jak wielką wagę Henry przykładła do swoich urodzinowych pomysłów. Dlatego i ona traktowała je bardzo serio. Przygryzła usta. Gdyby już nigdy jej nie zaprosił... albo, co gorsza, poczuł się urażony i zerwał znajomość... Bardzo jej zależało na tej przyjaźni.

Cade wyjął z plecaka słoiczek tabletek,

- Może weźmiesz? Złagodzi ból rąk.
- Nie, dziękuję.
- Jak sobie chcesz. - Połknął dwie pastylki.
- Co ci jest? - zapytała.
- Głowa mnie boli. - Potarł palcami skronie.
- Mogę ci jakoś pomóc?
- Zostań.
- Dlaczego tak ci na tym zależy?
- Jeśli odjedziesz, nie dostanę nagrody.

Jakie to śmieszne i żalodne, pomyślała. W ogóle go nie obchodziła, Cade'a interesuje tylko to, co dzięki niej może zyskać. Jest taki jak inni... A więc koniec złudzeń.

- Co jest w tej nagrodzie, że tak ci na niej zależy?
- Nie zrozumiesz tego.
- Dlaczego tak uważasz? - spytała z urazą. - Przecież sam powiedziałeś, że prawie mnie nie znasz.
- Znam kobiety takie jak ty.
- Maggie?

Roześmiał się.

- Nie.

Sama się o to prosiła.

- Nie powinieneś tak szybko oceniać innych.
- Możliwe - przyznał. - Wytrzymałaś dłużej, niż sądziłem.

W pewnym sensie można to uznać za komplement.

- Powiedz mi coś więcej o tej nagrodzie.
- Henry obiecał darowiznę dla fundacji, którą kieruję.

Prowadzi fundację i jest prawnikiem. To robi wrażenie.

Należy mu się uznanie. Tylko dlaczego nie widzi wyjścia, które samo się nasuwa?

- Jeśli chodzi ci tylko o darowiznę, sami wypiszmy czek i pożegnajmy się z tą wyspą.

- Henry obiecał pięć milionów dolarów rocznie, jeśli wytrzymamy tu dwa tygodnie.

- Och! - Zamurowało ją. - Czym zajmuje się twoja fundacja?

- Uśmiechnięty Księżyc pomaga dzieciom zagrożonym demoralizacją. Dlatego tak ważne są dla mnie pieniądze od Henry'ego.

- Uśmiechnięty Księżyc... Ładnie brzmi. Skąd taka fajna nazwa?

- Występowałem w sądzie jako adwokat reprezentujący interesy dzieci. Pewna dziewczynka, Bethany, przez całą noc wpatrywała się w ciemność. Powiedziała, że chce zobaczyć pana, który mieszka na księżycu i podobno się śmieje. Ale ona widziała tylko jego zmarszczone czoło. To mną poruszyło.

Ją też poruszyła ta opowieść. Na myśl o Cadzie i Bethany zrobiło się jej ciepło na sercu. Dobry z niego człowiek.

- Nie masz pojęcia, przez co te dzieci przeszły. Historie, które przytoczył, rzeczywiście przemawiały do serca.

Ujrzała Cade'a w zupełnie nowym świetle. Jest inny niż większość znanych jej filantropów. Działanie na rzecz potrzebujących nie jest dla niego tylko pustym frazesem, przykrywką do interesów lub propagandową zagrywką, lecz misją. To się po prostu czuło. Nie chodziło mu o pieniądze, lecz o poprawienie tego świata, o znalezienie miejsca dla dzieci pokrzywdzonych przez los. Jego życie ma cel. To budzi szacunek... i zazdrość.

- Większość tych dzieci nie ma nikogo, kto by się o nie zatroszczył. Marzą o kimś, kto je pokocha, kto się nad nimi pochyli. Nie jesteś w stanie zrozumieć, co te dzieci czują...

- Rozumiem to bardziej niż myślisz - wyznała. Jego słowa poruszyły w niej bolesne struny. Nawet gdy dorosła, często czuła się jak te dzieci.

- Jak to możliwe? - spytał z niedowierzaniem. - Tobie nigdy niczego nie brakowało.

Gdyby tylko znał prawdę! Milczała jednak.

- Te dzieci też oczywiście marzą o najmodniejszych sportowych butach czy topowej płycie CD, ale najważniejsze jest coś innego. Poczucie bezpieczeństwa, świadomość, że ma się kogoś bliskiego, że jest się kochanym.

Trzy rzeczy, których zawsze jej brakowało, o których zawsze marzyła. I nadal ich szukała. Któregoś dnia je odnajdzie. Może to nawet już się stało. Popatrzyła na Cade'a.

- Nikt, kto... - Przyglądał się jej z dziwną miną. - Nie przypuszczałem, że ktoś taki jak ty potrafi to pojąć.

- Ktoś taki jak ja... - szepnęła i odwróciła wzrok.

- Za szybko cię oceniłem.

Tak, lubiła luksus, dobrego fryzjera, modne ubrania, drogie kosmetyki, bywanie w snobistycznych miejscach. Dla tych dzieci, jak i dla Cade'a, były to błahostki, bo to co najważniejsze kryło się gdzie indziej. I ona dobrze to rozumiała, bo też borykała się z bólem opuszczenia i samotnością.

Była to jej tajemnica, a zarazem najważniejszy motyw działania. Pragnęła uciec od bólu i strasznej samotności. Stanie się to wtedy, gdy założy szczęśliwą rodzinę.

I oto spotkała Cade'a, człowieka szlachetnego i czułego, który tak bardzo przejmuje się losem obcych dzieci. Równie czuły i szlachetny będzie wobec swej żony i własnych dzieci. Teraz to zrozumiała.

- Przepraszam - powiedział. - Pomyliłem się.

Ona również. Lecz już wiedziała, że Cade Armstrong Waters jest tym, kogo tak długo szukała. Jej wyśniony, jedyny.

Nie zawiedzie go. Pomoże mu zdobyć tę darowiznę. Niech spełni się jego marzenie.

- Zostanę.

Ranek powitał ich słońcem i bezchmurnym niebem, jednak po wczorajszej burzy wyspa przedstawiała obraz nędzy

i rozpaczy. Cade wcale się tym nie przejął. Nie czuł zmęczenia po nieprzespanej nocy, chciał gwizdać z radości.

Cynthia zostaje na wyspie.

A więc jego sen się ziści. Swoją drogą, ta Sterling to jedno wielkie zaskoczenie. Nie spodziewał się po niej ani takiej determinacji, ani takiego zrozumienia. Ileż to razy bezskutecznie starał się wyjaśnić najbliższemu swoje motywy. Niby się zgadzali, że trzeba pomagać biednym, ale... A ona w lot wszystko pojęła, choć dałby głowę, że takie damulki nie są w stanie tego zrozumieć. Intrygująca osoba. Te dwa tygodnie zapowiadają się bardziej interesująco, niż sobie wyobrażał.

- Dzień dobry. - Cynthia wynurzyła się z szałas. Miała na sobie szorty i skąpą bluzeczkę. Mignęło mu białe ramięczko. Czyli jakoś poradziła sobie z bielizną.

Schylił się po kokos.

- Jak tam twoje ręce?

- Lepiej. - Pokazała na siebie. - Udało mi się ubrać. Szkoda, wołałby sam ją ubierać...

Cade, opanuj się!

- Może zmienię ci opatrunek?

- Dzięki, sama dam radę. Ale może potrafisz zapleść warkocz?

Kiedyś zaplatał włosy siostrze. Na samą myśl, że miałby zanurzyć palce we włosach Sterling, zrobiło mu się gorąco. Nie ma mowy. Po nocnym deszczu nie będą tak jedwabiste, jednak...

- Nie jestem w tym dobry, ale za to postarałem się o śniadanko.

- Och, to wspaniale, bo umieram z głodu. - Zwilżyła językiem usta. - Jakie menu?

Cade uniósł do góry mango i grejpfruta.

- Talerz świeżych owoców.

Oczy Cynthii rozszerzyły się ze zdumienia.

- Skąd je masz?  
- Zerwała je za nas burza. - Wskazał na zarośla. - Nie umrzemy z głodu.

- I nie dostaniemy szkorbutu.

Cade uśmiechnął się, opłukał mango i rzucił go Cynthii.

- Mamy też kawę.

Nalała sobie pełen kubek, upiła łyk.

- Nie jest to jamajska blue mountain, ale może być. Cade niechcący upuścił mango na piasek.

- Psiakr... psiam... a niech to!

- Czemu tak się pilnujesz, żeby nie zakłąć?

- Podjęliśmy z dziećmi takie zobowiązanie.

- Jesteś z nimi bardzo związany, prawda?

- Ktoś musi. Rozległ się głos rogu.

- Henry! - Cynthia odstawiła kawę i popędziła do brzegu.

Cade podążył za nią. Jego nie witała tak wylewnie.

Henry już wychodził na piasek. Szorty khaki, olśniewająco biała letnia koszulka. Jak wycięty z turystycznego folderu. Cynthia uścisnęła go serdecznie.

- Szczęście, że jesteś.

Henry wiedział, jak się uśmiechać, by czarować dziewczyny. Szatan z niego. Cade też chętnie zaprzeda mu duszę, byle tylko dostać obiecaną darowiznę.

- Ciężka noc, co, kotku?

- Nawet sobie nie wyobrażasz. Popatrz na moje ręce.

Henry spochmurniał.

- Nic ci nie jest? Pokręciła głową.

- Ale moje włosy...

- Skarbie, wyglądasz prześlicznie. Bardzo naturalnie. - Odgarnął kosmyk z jej twarzy. - Dzień dobry, Cade.

Dobry może dla ciebie, skrzywił się w duchu Cade. Nie podobała mu się ta poufałość, z jaką Henry zwracał się do Cynthii. Przyjaźń przyjaźnią, ale ręce niech trzyma przy sobie.

- Lepszy niż noc.

- Burza jak się patrzy. - Henry gwizdnął z uznaniem. -  
Wiem, że ta noc nie była przyjemna.

- Jakoś przeżyliśmy - mruknął Cade. - Prawda, Sterling?

- Jasne. - Wyprostowała się. - Więc co masz dla nas w zanadrzu? Jakież ciekawe zadania?

Henry błysnął uwodzicielskim uśmiechem.

- Cieszę się z waszego entuzjazmu.

- Znasz mnie. Zawsze jestem pierwsza do takich rzeczy.

Puściła oko do Cade'a. Był dla niej pełen podziwu.

- Chodźcie, po drodze wszystko wam wyłożę. - Ruszył ścieżką przez zarośla. - Zasady są proste. Przygotowałem pięć półmisków. Jeśli spróbowacie odrobinę z każdego, wygrzywacie.

- Jaka jest nagroda? - zapytała.

- Na łódce mam pojemnik pełen dóbr, od przyborów kuchennych po poduszki i ubrania. Zwycięzca wybierze sobie jedną rzecz. - Henry potarł brodę. - Dorzucę jeszcze coś: lunch w moim towarzystwie. Ten, kto przegra, dostanie to, na co zasłużył, czyli figę.

Cade zerknął na Cynthię. Jak zareaguje, jeśli przegra? Z pewnością poczuje się urażona. Zgodziła się zostać na wyspie, ale czy długo wytrzyma? Cade musi zrobić wszystko, by zapewnić jej maksimum wygody i komfortu.

- Czy to nie jest zbyt brutalne?

- Życie jest brutalne. - Henry wzruszył ramionami. Nie dla każdego, zgryźliwie pomyślał Cade. Ciekawe, jak długo Henry by tu wytrzymał? Już po pierwszej nocy miałby dość, a gdyby było ich czternaście...

- Och, o czymś zapomniałem. - Henry uśmiechnął się. - Osoba próbująca potraw będzie mieć zawiązane oczy, a drugą ją nakarmi.



- To będzie... - Ugryzła się w język. - To będzie dobra zabawa.

Cade tylko zacisnął zęby. Chodzi o darowiznę, reszta nie ma znaczenia. Również to, że Sterling coraz bardziej mu się podoba.

Wyszli na niewielką polankę. Zarośla zasłaniały ocean, lecz brzeg musiał być blisko, bo słysząc było rozbijające się fale. Jak Henry to wszystko urządził? Musiał mieć pomocników.

Stół był nakryty na dwie osoby. Piękna porcelana, eleganckie sztuce. No i pięć małych półmisek, nad którymi unosiły się muchy. W półmiskach wiły się robaki.

- Czas na przekąskę - zaordynował Henry. Sterling oparła się o Cade'a.

- Niedobrze mi. Podtrzymał ją ramieniem.

- Nie patrz tam.

- Nie ma przymusu, możecie zrezygnować - oświadczył Henry. - Ale tym samym pozbawiacie się prawa do nagrody.

- Ja się wycofuję. - Cynthia nie zastanawiała się ani sekundy. - Nie jestem aż tak głodna.

Cade też się nie wahał. Henry posunął się za daleko.

- Ja też rezygnuję. Henry spochmurniał.

- Ale...

- Nie ma żadnego ale. - Cynthia wyprostowała się dumnie. Cade patrzył na nią z podziwem. - Nie mieści mi się w głowie, że możesz nas tak traktować. Że mnie tak traktujesz. Pomijając już tę wyspę i warunki, w jakim mamy przeżyć, to jeszcze takie pomysły... - Westchnęła. - Myślałam, że bardziej mnie szanujesz.

- Ależ bardzo cię szanuję! - obruszył się Henry. - I robię to dla ciebie. Zależy mi, żebyś była szczęśliwa.

- W ciekawy sposób to okazujesz. Henry przymrużył oczy.

- Czego ci potrzeba do szczęścia?

Cade poczuł ucisk w żołądku. Teraz poprosi, żeby ją stąd zabrał.

Zaskoczyła go. Uniosła dumnie brodę i oświadczyła:

- Jeśli jedno z nas zje trochę z każdego półmiska, dostaniemy nie tylko coś z twojego zestawu, ale fundacja Uśmiechnięty Księżyc otrzyma tę wyspę i twój jacht, by przywozić tu dzieci na letnie obozy.

Z wrażenia nie mógł wydobyć z siebie słowa. Jasne, że Henry wyśmieje to żądanie, jednak jej intencje... Czyżby aż tak pomylił się w jej ocenie?

Henry popatrzył na Cynthię, potem na Cade'a.

- Zgoda.

Serce w nim zamarło. Nie wierzył własnym uszom.

- Zgadzasz się? Na wszystko? Henry kiwnął głową.

- Pod warunkiem, że wykonacie zadanie.

- Dobrze, ja to zrobię - przystał bez wahania. - Tylko chcę mieć na piśmie, że przekażesz wyspę i jacht.

- Cynthia musi ciebie nakarmić.

Chciała odskoczyć od stołu, lecz Cade przytrzymał ją ramieniem.

- Nie, ja tego nie zrobię. Nie mogę.

- Możesz - zapewnił z przekonaniem. Uścisnął ją, by dodać jej otuchy. - Pomyśl o dzieciach, które przyjadą tu na wakacje. Dzięki tobie.

- Nie zmuszę się, żeby tego dotknąć. - Skrzywiła się. - Na samą myśl robi mi się niedobrze.

- Czy Cynthia może posłużyć się widelcem? - zapytał. Henry przez chwilę mierzył ich badawczym spojrzeniem.

- Dobrze. Skoro zmodyfikowałem nagrodę, to mogę zmodyfikować zasady.

- Jesteś wspaniałomyślny. - Ekscentryk, któremu z nadmiaru bogactwa przewróciło się w głowie. Ale jeśli odda

im wyspę... Cade uśmiechnął się. - Sterling, nie musisz niczego dotykać z wyjątkiem widelca. Zgoda?

Kiwnęła głową. Była zielona na twarzy.

- Na pewno chcesz?

Jeszcze nigdy nie był tak pewny jak teraz.

- Tak. Ale by dopiąć celu, musimy połączyć siły.

- Dalej. Świetnie ci idzie.

Jego zachęty dodawały jej otuchy. Ledwie się przemogła, by sięgnąć do ostatniego półmiska. Widok wijącej się na widelcu liszki czy gąsienicy był nie do zniesienia. Powinna ją przebić, ale to było ponad jej siły. Zgodziła się zostać na wyspie, brać udział w tej idiotycznej zabawie ze świadomością, że sama niczego nie wygra. Zrobiła to dla dzieci, dla Cade'a. Jednak są granice, których nie jest w stanie przekroczyć.

Przez ostatnią dobę przebyła długą drogę, ale jeszcze nie doszła do punktu, w którym wszystko staje wykonalne. Już i tak na wiele przystała. Rzut oka w lusterko utwierdził ją w przekonaniu, by nie sięgać po nie, póki stąd nie wyjedzie. Gdyby mogła nie widzieć poranionych rąk. Choć to lepszy widok niż robak wijący się na widelcu.

Popatrzyła na Cade'a. Miał zawiązane oczy, na twarzy jednodniowy zarost. Wyglądał super.

- Świetnie ci idzie - powiedział. Naprawdę tak myślisz? Zapięły ją policzki.

- Ostatni kęs. - Bogu niech będą dzięki, zaraz dobrną do końca. Aż nie chce się wierzyć, że Cade się na to zdobył. - Otwórz usta i połknij.

- Mówisz, jakby ci to sprawiało przyjemność, sadystko.

- Miło jest karmić faceta takim paskudztwem.

Jego uśmiech znowu ją zaskoczył. Co chwila czymś ją zdumiewał. Na plus.

Ręka jej drżała. Cade przełknął, skrzywił się lekko, ściągnął z oczu przepaskę i szybko opróżnił szklanekę wody.

- Zadanie wykonane - obwieścił Henry.

Cade poderwał się z miejsca i radośnie uściskał Cynthię.

- Wygraliśmy, Sterling! Wygraliśmy!

My, nie ja.

Mogłaby do tego szybko przywyknąć. Zarzuciła mu rękę na szyję. Jak wspaniale się czuła w jego ramionach. Niech dzieci mają wyspę. A ona Cade'a.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Cade w zamyśleniu patrzył na migoczącą w słońcu tafłę wody. Cynthia siedziała obok. Spisała się dzisiaj na medal. Uśmiechnięty Księżyc ma wyspę i jacht, a on zyskał wędkę i haczyki. Kawior posłuży za przynętę i wkrótce będą mieć mnóstwo ryb.

Może ryba z patelni poprawi jej humor? - pomyślał. Miała niepewną minę, z napięciem przyglądała się przygotowaniom do kolejnego zadania.

- Czy to pontony? - zapytała, nerwowo zdejmując ciemne okulary.

- Tak. Chyba szykuje się wyścig.

- Po wodzie?

- Raczej nie po piasku! - roześmiał się.

- Jak ci się udał lunch? - zmieniła temat.

- W porządku - stwierdził lakonicznie. Byłoby okrucieństwem mówić o tych wszystkich pysznościach. - A ty coś zjadłaś?

- Tak.

Nie zdążył zadać kolejnego pytania, bo Henry zaprosił ich do zawodów.

- Człowiek przeciwko siłom natury - oznajmił z emfazą. - W nocy przekonaliście się, jak nieobliczalna może być pogoda, a dziś stawicie czoło morzu. - Podał im kamizelki. - Widzicie te boje? Niebieska dla Cade'a, czerwona dla Cynthii. Macie do nich dopłynąć na pontonach, wziąć chorągiewkę i wrócić na brzeg.

Cade ocenił dystans na mniej więcej sto metrów.

- Jeśli oboje ukończycie wyścig, będziecie mogli wybrać trzy rzeczy. Jeśli ukończy tylko jedno z was, wybieracie jedną rzecz. Jakies pytania?

Cade włożył kamizelkę.

- Jestem gotowy.

- Cynthia, co z tobą? - zapytał Henry.

Miała pobladłą twarz. Cade popatrzył na nią z niepokojem. Wczoraj nie chciała wejść do wody, przed chwilą zadała dziwne pytanie. Jest bardzo zdenerwowana. Musi ją rozruszać.

- Chodź, to będzie dobra zabawa - rzucił lekko. Henry podniósł do góry zieloną chorągiewkę.

- Do biegu, gotowi, start!

Cade zepchnął ponton na wodę i wskoczył do środka. Obejrzał się. Cynthia stała na brzegu.

- Sterling, płyn! - zawołał Cade.

- Moje ręce. - Puściła ponton. - Nie dam rady.

Cade skoncentrował się na zadaniu. Wprawdzie nie było łatwo wiosłować pod wiatr, ale dość szybko poradził sobie z zadaniem.

- Wygrałeś, Cade - oznajmił Henry.

- Co ci się stało? - Cade pochylił się nad Cynthia, która siedziała na piasku.

- Nie mogę wiosłować, ręce za bardzo mnie bolą. Podniosła na niego oczy pełne łez.

- Nic się nie stało - powiedział spokojnie.

- Moje gratulacje, Cade. Przepraszam, że nie wystartowałam. Lepiej byłoby mieć trzy rzeczy.

- Jutro je wygramy.

- Muszę się zbierać. - Henry wstał z piasku. - Płyn ze mną, Cade. Wybierzesz sobie nagrodę. Zobaczymy się jutro rano.

Kusiło go, by wziąć maskę i płetwy. Jeśli wędka okaże się nieprzydatna, będą ratować się skorupiakami. Naraz wpadło mu w oko coś różowego...

Gdy motorówka Henry'ego odpłynęła, podszedł do siedzącej na brzegu Cynthia.

- Co sobie wybrałeś?

- To. - Rzucił na piasek różowe japonki. - Mam nadzieję, że rozmiar będzie dobry.

Zdumienie odebrało jej mowę.

- To dla mnie? - wydusiła.

- . Różowy to nie jest mój kolor. - Uśmiechnął się.

- Wzięłaś je dla mnie? - Była naprawdę poruszona.

- Jesteśmy w jednej drużynie. Nie możesz chodzić przez dwa tygodnie boso.

- Dzięki. - Od tego uśmiechu zrobiło mu się lekko na sercu. - To najmiłsza rzecz, jaką ktoś w życiu dla mnie zrobił.

Szczerze w to wątpił.

- To, że tu zostałam, jest najmiłszą rzeczą, jaką ktoś zrobił dla mnie. Dorzuciłaś też jacht i wyspę dla dzieci. Japonki to słaby rewanż.

Jest lepiej, niż się zapowiadało. Cynthia zapatrzyła się w zachodzące słońce. Ocean mienił się złociście, różowopomarańczowe niebo odbijało się w toni. Widoczek jak z obrazka.

Jest cudownie. Pod każdym względem. Wprawdzie już dawno powinna umyć włosy, a ręce wciąż bolały, ale było sucho i ciepło. Nie tak jak wczoraj.

Nawet Cade jest odmieniony.

Stanowią drużynę, są partnerami... czyli coraz bliżej do prawdziwej znajomości. A gdyby tak przeskoczyć te wszystkie etapy i od razu zrobić z niego męża? Nie, raczej na to nie pójdzie. Jest zbyt systematyczny, jak każdy prawnik.

Z uśmiechem spojrzała na japonki. Ma szafę pełną bucików od najlepszych projektantów, lecz te zwyczajne klapki zawsze będą na pierwszym miejscu. Kiedyś pokaże je dzieciom, potem wnukom. Pierwszy prezent od Cade'a.

Postawił przed nią talerz z ryżem, fasolą i rybą.

- Kolacja podana.

- Dziękuję. - Nie wierzyła, że Cade'owi uda się coś złowić, a okazał się nie tylko dobrym wędkarzem, lecz również, w przeciwieństwie do niej, sprawnym kucharzem. Naprawdę świetny materiał na męża.

- Wygląda pysznie.

- W razie czego służę dokładką.

Tak miło się o nią troszczy. Wszystko jest na dobrej drodze. Jeszcze trochę, a ta troska zamieni się w miłość. Maggie stanie się tylko wspomnieniem. I będą żyli długo i szczęśliwie.

Spróbowała ryby.

- Jest wyśmienita. Przykro mi tylko, że cała praca spadła na ciebie.

- Jeszcze trochę, a ręce ci się wygoją.

Ogarnęło ją poczucie winy. Tak bardzo bała się wody, że skorzystała z tego wykrętu.

- Myślę, że jutro już będzie z nimi dobrze.

- Nawet jeśli nie, to się nie przejmuj. - Uśmiechnął się ciepło. - I tak robisz, co do ciebie należy.

Niestety, prawda była inna. To nie ona zmusiła się do przełknięcia robactwa. Nie startowała w wyścigu. Nie kiwnęła palcem przy kolacji.

Piękny z niej kumpel. Skoro liczyła na coś więcej, powinna się poprawić. Nabrała powietrze.

- Muszę ci coś powiedzieć. Widelec brzdęknął o talerz.

- Chyba nie chcesz wyjechać?

- Nie, skądże. - Chciała wyznać prawdę o wyścigu, ale słowa utknęły jej w gardle. Maggie na pewno świetnie pływała, z radością rzucała się na fale... - Ja tylko... chciałam powiedzieć, że... bardzo podobają mi się te klapki. - I tyle w kwestii szczerości. Cóż, nie dorastała Cade'owi do pięt. Ale nie musiał o tym wiedzieć. - Dziękuję.

- Już mi podziękowałaś.



- Chciałam to zrobić jeszcze raz.
- Cieszę się, że ci się podobają.
- Bardzo. - Przełknęła łyżkę ryżu. - Są naprawdę super.
- Założę się, że mówisz tak każdemu facetowi.
- Nie - odparła. - Tylko takim, którzy pozwalają się karmić robalami.

Rano, zgodnie z zapowiedzią, Henry znowu zawitał na wyspę. Cade z trudem skrywał uśmiech na widok jego kasku i stroju safari.

Na plaży ustawiono dwie tarcze strzeleckie. U stóp Henry'ego stał kosz z włóczyniami i strzałami.

- Rozbitkom na bezludnej wyspie najbardziej brakuje jedzenia - zagaił z powagą. - Macie udowodnić, że potraficie je zdobyć... oczywiście nie w tak oryginalny sposób jak wczoraj.

- Mam nadzieję - mruknął Cade.
- Też na to liczę - dodała Cynthia.
- Dzisiejsze zawody sprawdzą wasze umiejętności łowieckie.

Cynthia wzięła się pod boki.

- Jestem wegetarianką.
- Kotku, a kto przepada za befsztykiem Wellingtona? - Henry uśmiechnął się. - Nie martw się, nie każę ci zabijać.
- Dzięki Bogu - wymamrotała.

- Gra będzie się składać z dwóch etapów - mówił Henry. - Rzucanie włócznią i strzelanie z łuku. Punkt za każde trafienie. Kto zdobędzie więcej punktów, wybiera nagrodę z kuferka. I zabieram go na lunch. Kto pierwszy? Może ty, Cynthia?

Wybrała włócznię.

- Są przewidziane próbne rzuty?
- Nie, ale każdy rzuca sześć razy.

Przez chwilę wazyła włócznię, wycelowała i rzuciła. Nie trafiła, lecz Cade i tak był pod wrażeniem, bo musnęła tarczę. Mimo obandażowanych rąk. Jest silna i zręczna, z całą pewnością dużo ćwiczy.

Wycelowała ponownie i znowu spudłowała. Dopiero za piątym razem trafiła, lecz włócznia wbiła się za lekko i odpadła. Natomiast ostatnia próba udała się całkowicie.

Cade klasnął w dłonie.

- Świetna robota!

Cynthia nie wyglądała na zadowoloną.

- Są cięższe niż się wydaje.

- Dzięki za ostrzeżenie. - Sięgnął po włócznię. Trafił prosto w środek.

- Pięknie - zachwyciła się.

- Nie mów hop. - Znowu trafił w sam środek. Czekał niecierpliwie, aż Henry wyciągnie włócznię z tarczy. Kolejny rzut też był udany, lecz za następnym razem włócznia przeszła bokiem. Ostatecznie zdobył cztery punkty.

- Cóż, a ja mam tylko jeden - markotnie podsumowała Cynthia.

- Nic się nie martw - pocieszył ją Cade.

- Łatwo ci mówić.

Tak, łatwo, bo przecież nie walczył przeciwko niej, tylko za nich oboje. Koniecznie muszą zdobyć sprzęt do łowienia skorupiaków.

- Walczymy o to samo, Sterling. Potrzebny nam sprzęt do nurkowania.

Skinęła głową. Zauważył, z jaką uwagą przyglądała się strzałom. Niepotrzebnie się obawia, przecież wziął wszystko na siebie. Będą jedli kraby.

- Przystępujemy do drugiej części - zaanonsował Henry. - Będziecie strzelać z łuku. Zasady te same.

- Teraz niech Cade zaczyna - zaproponowała Cynthia.

- Dzięki. Pokażę ci, jak to się robi.

Zatrzepotała rzesami.

- Nie mogę się doczekać, Cade.

Czuł się jak król dżungli. Jest Tarzanem, a ona Jane. Od dziecka lubił odgrywać rolę bohatera i obrońcy. Kelsey nieraz się z niego śmiała. Przed laty, gdy był małym chłopcem, dziadek nazywał go Białym Rycerzem.

Od dawna nie strzelał z łuku, ale był pewien, że sobie poradzi. To jak z jazdą na rowerze, nigdy się nie zapomina. Naciągnął cięciwę i puścił strzałę. Wbiła się w piach.

- Cholera.

- Strzelaj! - zachęciła go Cynthia. - Teraz się uda.

Dodawala mu otuchy, jednak ani razu nie trafił. Taki z niego rycerz w lśniacej zbroi. Ma za swoje. Cofnął się. Biedna Sterling. Nie ma żadnych szans.

- Łuk jest mniej elastyczny niż się wydaje.

- Dzięki za ostrzeżenie, Cade. - Uważnie obejrzała łuk, szarpnęła cięciwę.

Przyjemnie popatrzeć, jak udaje, że się na tym zna.

- Gotowa? - zawołał Henry.

Przyjęła postawę, wycelowała. Strzała poszybowała prosto w środek tarczy. Kolejne strzały były równie celne.

- Wygrałam.

Cade patrzył na nią ze zdumieniem.

- W internacie miałam WF - powiedziała, widząc jego minę. - Nie chciałam biegać, bo nie lubię się pocić, gimnastyka artystyczna wymagała ostrej diety, w tym rezygnacji ze słodczy, a przy piłce łamałam sobie paznokcie. Wybrałam więc łucznictwo. Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś mi się przyda.

Henry zdjął z głowy hełm i podrapał się w głowę.

- Nic o tym nie wiedziałem.

- Bo nie wiesz o mnie wszystkiego.

Ta uwaga sprawiła Cade'owi dziwną przyjemność. Cynthia przeniosła wzrok na kufer z nagrodami.

- Mogę już teraz coś wybrać?

Cade postąpił w jej stronę.

- Sterling, bierz...

- To Cynthia wygrała - przerwał mu Henry. Podniosła wieko i zaczęła przebierać. Cade zaczął się denerwować. Przecież wiedziała, że potrzebują przyrządów do nurkowania. Czego tam szuka?

Z każdą chwilą jego obawy rosły. No już, Sterling, popędzał ją w duchu. Rusz głową. Rurka i płetwy.

Wreszcie wyprostowała się. W dłoni miała niewielką czarną saszetkę zamykaną na suwak.

- To sobie wybrałam - oznajmiła.

- Ale miała być rurka i...

- Niech ci dobrze służy, skarbie. - W głosie Henry'ego brzmiała nutka rozbawienia. - Zapracowałam sobie na nagrodę.

Może to coś rzeczywiście cennego? - pomyślał Cade.

- Co to takiego?

- Przybory do manikiuru i lakier do paznokci - oznajmiła z dumą. - Sama bym nie wybrała takiego koloru, ale ujdzie. Jak chcesz, zrobię ci pedikiur w dowód wdzięczności za japonki.

Aż się w nim gotowało. Przybory do manikiuru, Lakier do paznokci. O czym ona myśli?

W tym właśnie problem, że nie myśli. Po tym, jak nakłoniła Henry'ego, by oddał jacht i wyspę, uważał, że stanowią zespół. Widział w niej same zalety. Pomylił się. Bardzo się pomylił.

Dopiero teraz uświadomił sobie, co go czeka. To nie jest zły sen, tylko okrutna rzeczywistość. Jest skazany na tę damulkę, która z zadowoloną miną trzyma w obandażowanych dłoniach zestaw do manikiuru. Będzie z nią

na tej cholernej wyspie jeszcze przez prawie dwa tygodnie. I nic nie może na to poradzić.

Nie miała pojęcia, co go ugryzło. Przez cały dzień prawie się nie odzywał. Nie pogratulował jej zwycięstwa. Gdy podziękowała za kolację, tylko coś odburknął.

Zachowywał się inaczej niż do tej pory. Cóż, dopiero go poznawała. Ale już wiedziała, że jest pracowitym, porządnym człowiekiem. Naprawdę świetny kandydat na męża.

Leżąc w szalasiu, w milczeniu roztrząsała jego reakcje. Wreszcie dobiegło ją ciche pochrapywanie. Cade usnął.

Może źle się czuł? Dziś znowu łykał pastylki. Cade reaguje bólem głowy na stres. Powinien się rozluźnić, traktować życie mniej serio. I nagle spłynęło na nią olśnienie. Musi się postarać, by życie na wyspie stało się miłsze, swobodniejsze. Po prostu więcej luzu. Wtedy znikną stresy i ból głowy.

Postara się, by tak się stało. Nie może liczyć, że oczaruje go sobą, swoim wyglądem. Nie w tych warunkach. Czyli musi spróbować czegoś innego. Zyska wtedy jego uznanie i wdzięczność. To będzie początek czegoś głębszego, czegoś ważniejszego.

Jak małżeństwo.

Pierwsze promienie słońca dopiero rozjaśniały niebo. Cynthia nie pamiętała, kiedy ostatnio wstała tak wcześnie. Powietrze było chłodne, ale wiedziała, że niedługo zrobi się ciepiej.

Od dzisiaj zaczyna wprowadzać w życie swój plan. Ma jedenaście dni. Przez ten czas Cade musi uświadomić sobie, że nie może żyć bez niej.

Rozpaliła ognisko, sypnęła kawę do dzbanka. Na oko. W końcu nie jest istotne, czy wyjdzie lura, czy siekiera. Ważna jest intencja. Będzie użyteczna, aż wreszcie Cade uzna, że nie może się obejść bez Cynthii Sterling.

Dłonie bolały dużo mniej. Splotła włosy w warkocze, umyła buzię. Z kosmetyczki wybrała grafitową kredkę i beżową szminkę. Nic innego nie wytrzyma w tym klimacie.

Z szalasu dobiegało chrapanie. W nocy jej to nie przeszkadzało. Może po dwudziestu pięciu latach zaczniesz? Chętnie się przekona.

Pora na śniadanie. Podobno droga do serca mężczyzny prowadzi przez żołądek, więc przygotowuje coś specjalnego, jakiś domowy przysmak. Zawsze gotowała jej Gaby, kucharka rodziców, ale przecież to nie może być takie trudne. Trochę tego, trochę tamtego i proszę, śniadanie gotowe.

Obudził go swąd. Coś się pali! Gdy wyskoczył z namiotu, Cynthia właśnie wylewała kubek wody na ognisko.

- Przepraszam za ten zapach. Zaraz się rozejdzie.

- Chyba wcześniej stąd wyjedziemy. - Spozstrzegł resztki spalonego jedzenia. - Co to...

Na piasku leżały dwie puszkę po pomidorach, rozdarte opakowania, pojemnik, w którym trzymali ryż. Podeszedł bliżej. Potracił coś nogą. Pusta puszcyczka po kawiorze. To miała być przynęta na ryby.

- Sterling! - Jego głos zabrzmiał ostro nawet dla niego. Nie zwracał na to uwagi. - Do cholery, co ty zrobiłaś?

- Chciałam ci przygotować śniadanie. Ale wciąż spałeś, więc trzymałam je w ciepłe. Nagle się zapaliło. Wyrzuciłam wszystko i postanowiłam zrobić coś innego. Ale mi nie wyszło. W każdym razie się starałam. - Zwilżyła językiem wargi. - Masz ochotę na krakersy z masłem orzechowym?

Zajrzał do skrzynki. Butelka dżinu, jeden batonik, gruszka, dwa krakersy i masło orzechowe.

- No nie, nie wierzę - jęknął.

- Przepraszam, Zużyłam dużo zapasów, bo chciałam ci zrobić suflet.

- Do sufletu potrzebne są jajka. - Zaczynała ćmić go głowa. - I trzeba mieć piekarnik.

- Dlatego mi nie wyszło. - Westchnęła. - Zrobiłam też zmodyfikowaną wersję paelli, ale również nie wyglądała najlepiej.

Ból głowy stał się nie do wytrzymania. Cade pośpiesznie sięgnął do plecaka po fiolkę, wyjął z niej dwie tabletki i szybko je połknął.

- Dobrze się czujesz? - zaniepokoiła się Cynthia.

Nie odpowiedział, bo nie wolno mu było kłąć. Zagryzł usta. Może wczoraj, gdy ujrzał jej zestaw do manikiuru, zareagował przesadnie. To była jej nagroda. Ale dzisiaj przeszła samą siebie.

- Nie powinieneś łykać tabletek jak cukierków. - Dotknęła jego ramienia. - Mogę jakoś pomóc?

- Już zrobiłaś swoje. - Szarpnął się. W jej oczach mignął dziwny cień.

- Ja tylko chciałam...

- Pomóc - dokończył za nią. Nabrał powietrza, by się uspokoić. - Może będzie lepiej, jeśli przestaniesz pomagać.

- Ale ja chcę się włączyć.

- Nie, ty chcesz czegoś innego. Wyjechać stąd jak najszybciej. Tylko nie sądziłem, że posuniesz się do sabotażu.

- O czym ty mówisz? - Zmarszczyła brwi.

- Jeśli głód zmusi nas do opuszczenia wyspy, Henry nadal będzie zapraszać cię na swoje przyjęcia. Nic dziwnego, że obiecał taką ogromną sumę. Był pewien, że skapitulujemy... dzięki tobie.

- Cade, o co ty mnie oskarżasz? Ta darowizna nie tylko dla ciebie wiele znaczy. Dla mnie również.

- Od kiedy?

- Odkąd zgodziłam się tu zostać i przydusiłam Henry'ego, by oddał wyspę i jacht. - Zepchnęła śmieci w ognisko. - Oboje

jesteśmy, w to zaangażowani. Sam to powiedziałaś. Chrapałeś, więc wiedziałam, że jesteś zmęczony, i dlatego postanowiłam przygotować śniadanie. Żeby cię odciążyć.

- Ja nie chrapię.

- Ależ chrapałeś.

- Jeśli nawet, to nie byłem jedyny.

- Jeśli chrapałam, to dlatego, że mam zajęte zatoki - powiedziała ze złością.

- Chrapałaś jak batalion wojska.

- Cade, jak możesz! - Złapała plecak, chwyciła manierkę i ruszyła przed siebie.

- Poczekaj, dokąd idziesz? - Cholera, teraz to już przegiął.

- Sterling, poczekaj. Porozmawiajmy, proszę.

Zatrzymała się i odwróciła w jego stronę.

- Mam ci tylko jedno do powiedzenia.

- Co takiego.

- Nie jesteś mnie wart.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Oparta o pień palmy wpatrywała się w wodę. Straciła rachubę czasu. Chyba minęło kilka godzin, odkąd tu przyszła. Wciąż wypatrywała na horyzoncie motorówki Henry'ego.

Chyba dziś nie przyplynie.

Odpychała od siebie to przeczucie, jednak czas mijał, a on nie przybywał. Przyciągnęła kolana, oparła głowę. Gdyby mogła jak te maleńkie kraby skryć się w jamce wydrążonej w piasku!

I co teraz?

Brak jej sił. Jest wyczerpana i tak bardzo głodna, że zaraz się rozplacze. Przecież nie może w nieskończoność czekać na Henry'ego. Nie pozostaje jej nic innego jak wrócić do obozowiska. Odstრęczała ją ta perspektywa. Nie chce więcej widzieć Cade'a. Nigdy.

Z tyłu ktoś nadchodził. A miała nadzieję, że już nigdy go nie ujrzy.

- Jesteś głodna? - zapytał.

Zaburczało jej w żołądku. Nic dziś nie jadła. No i co ma mu teraz powiedzieć? Pokajać się, że bez sensu zmarnowała tyle jedzenia, prawie całe zapasy? I błagać, by mimo to ją nakarmił?

- Przygotowałem dla ciebie coś specjalnego. Nie zasłużyła na nic.

„Nie jesteś mnie wart”. Te słowa wciąż brzmiały jej w uszach. Jak mogła mu tak powiedzieć? Zrobiła to w złości, bez zastanowienia, ale stało się. Chyba pójdzie i się utopi. Tylko że za nic nie zmoczy sobie głowy. Popatrzyła na spienione fale.

- Pogódźmy się - powiedział Cade.

Miły gest. Gdyby tylko wiedziała, jak się do tego zabrać. Rodzice nigdy się nie kłócili, więc nie musieli się godzić. Nie

miała żadnych wzorów. Ciekawe, czy w nocy jest zimno? Czy da się spać na dworze?

- To coś z czekoladą.

Na sam dźwięk tego słowa coś się z nią stało. Właściwie czemu się nie pogodzić? Zerknęła w jego stronę. Cade podsunął rękę. Gruszka w czekoladzie. To było ponad jej siły.

Choć jeden kęs... potem drugi...

Powoli otarła sok z brody. Kiedy ostatnio jadła coś równie wspaniałego?

- Dziękuję. - Czuła się bosko. - To było pyszne.

- Przepraszam.

Kompletnie ją zaskoczył. Nie tego się spodziewała. Liczyła, że zacznie się wykręcać, gadać byle co.

- Ja też.

Cade usiadł obok niej. Czuła bijące od niego ciepło. Serce zabiło jej mocniej. Zagryzła usta, zła na siebie za tę reakcję.

- Wiem, że chciałaś dobrze. Ale widok zmarnowanego jedzenia podziałał na mnie jak płachta na byka. Dlatego się wściekłem.

Czekała, że powie coś jeszcze, lecz milczał. Chyba więc kolej na nią.

- Powinnam się była opamiętać. Przestać, skoro mi nie wychodziło. Bez zapasów będzie nam ciężko przetrwać.

- To znaczy, że nie wyjedziesz? - spytał z niedowierzaniem.

- Oczywiście, że nie. - Popatrzyła mu w prosto w oczy. Nie ufa jej. - Nie wierzysz, że zostanę?

- Hm... chyba nie.

- Dałam ci słowo.

- Niektórzy rzucają słowa na wiatr.

- Ja nie jestem taka - odparowała chłodno.

- To prawda. - Uśmiechnął się lekko. - Nie jesteś.

- Działamy w jednej drużynie. Sam to powiedziałeś.

- Owszem. - Uśmiechnął się szerzej. - Ale zwykle tak się składa, że mogę liczyć tylko na siebie.

- Jak to? - zdziwiła się. - To Armstrongowie nie robią wszystkiego razem? Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego?

- Tak, ale ja się wyłamałem z rodziny.

- Słucham?

- Utrzymuję kontakty jedynie z mamą i siostrą. - Wbił wzrok w daleki horyzont. - Z resztą rodziny nie mam nic wspólnego. Nic od nich nie chcę, łącznie z pieniędzmi.

To, co usłyszała, nie mieściło się jej w głowie.

- Ale... ale dlaczego?

- Zmieniłem się. Dawniej wszystko kręciło się wokół forsy, liczył się tylko sukces. Byłem adwokatem, specjalizowałem się w rozwodach. Zależało mi tylko na wygraniu sprawy. Nie zastanawiałem się, co to oznacza dla przegranych, a szczególnie dla dzieci. Moi rodzice też się rozwiedli i na własnej skórze doświadczyłem, co się wtedy czuje. Ale zapomniałem o tym.

- No cóż - rzekła bez przekonania. - Zmienisz pracę i wszystko się poprawi.

- Już to zrobiłem. Założyłem fundację Uśmiechnięty Księżyc.

Czyli ma pracę. Nie jest tak źle.

- Fundacja pochłania cały mój czas i daje mnóstwo satysfakcji, jednak koszty są ogromne. Bezustannie brakuje pieniędzy. Mimo starań, ledwie wiążemy koniec z końcem. Ciągle trzeba główkować. Ale dopiero wtedy człowiek wie, że żyje.

Nie, to nie może być prawda. Cade świadomie odrzucił klan Armstrongów. Jest biedny jak mysz kościelna. Nie zapewni swojej żonie ani finansowego bezpieczeństwa, ani ogromnej, zżytej rodziny. Podoba się jej, ale to tym gorzej.

Nie ma mowy, by straciła głowę dla faceta, w dodatku biednego.

- Dobrze się czujesz? - zaniepokoił się.

Tak, świetnie... Właśnie jej marzenia prysły jak bańka mydlana.

- Sterling, jesteś blada.

Oparła się plecami o pień. Kotłowało się w niej tyle myśli, tyle pytań. Żal przemieszany ze złością, zawiedzione nadzieje. Fajnie, że poświęca się dla fundacji, lecz to nie jest życie, jakie jej odpowiada. Nie chce znowu zakosztować biedy. Nigdy więcej. Nawet dla niego.

Zamknęła oczy. Nie mogła opędzić się od wspomnień.

- Sterling, na pewno nic ci nie jest? Próbowала wziąć się w garść.

- Przypomniałam sobie czasy, gdy cierpieliśmy biedę.

- Ty?

- Tak, ja... Straciliśmy nawet dom. Mieszkaliśmy u znajomych, póki nie mieli nas dość. - Nie powie mu, że nie mieli co jeść, jeśli ktoś nie zaprosił ich na obiad. Ani o tym, że musiała zrezygnować z prywatnej szkoły i zapisać się do publicznej. - Przez jakiś czas mieszkaliśmy w samochodzie. To był jedyny okres, kiedy rodzice się kłócili. Wreszcie dziadek zlitował się nad nami.

Pamiętała, jakby to było wczoraj. Ulga i żal. Zniknęło poczucie zagrożenia, ale rozwiąła się też miłość, jaką okazywali jej rodzice.

Przysięgła sobie, że zrobi wszystko, by nigdy już nie musiała martwić się o pieniądze, o bezpieczeństwo. Jej dzieci też tego nie zaznają.

- Za nic bym nie chciała tego powtórzyć.

- Niektórzy ludzie nie mają wyboru.

Ale ona ma. Dlatego sprawa jest oczywista. Co z tego, że Cade się jej podoba? Nie jest dla niej. Skreśla go.

Jak to ułatwi sprawę! Nie będzie się więcej starać, by mu się przypodobać. W ogóle nie musi się nim przejmować. Przetrwaj tych dziesięć dni i do widzenia.

Po raz pierwszy w życiu może robić tylko to, na co sama ma ochotę. Bez oglądania się na innych, dobierania słów, zastanawiania się nad każdym ruchem. Jest wolna jak nigdy. Wspaniałe uczucie. A kiedy wróci do cywilizacji, zadzwoni do Trávisa. Jest miły, ciepły, wariuje na jej punkcie. Wprawdzie na jego widok jej serce nie bije mocniej, ale lubi go. Tak. Travis świetnie się nada.

Cade szturchnął ją w bok.

- A tak przy okazji, wcale nie chrapiesz.

- Wiem. - Uśmiechnęła się. - Ale ty jak najbardziej.

Nazajutrz Henry też się nie pojawił. Gdy kolejnego ranka na horyzoncie nadal nie było motorówki, Cade skontaktował się z nim przez radio. Henry miał przyplłynąć nieco później. Jak to ujął, daje im czas, by się lepiej poznali.

Tak też było, tylko z każdą chwilą Cade był coraz bardziej dezorientowany. Cynthia zmieniła się. Przestała obsesyjnie przejmować się swoim wyglądem, nie próbowała się przypodobać. Zastanowiła go ta przemiana i... urzekła. Z wampa przeobraziła się w fajnego kumpla. Już nie śmiała się zalotnie, nie rzucała znaczących spojrzeń, stała się bardziej otwarta i naturalna. Wzięła nawet na siebie część obowiązków. Z wyjątkiem gotowania.

Życie na wyspie stało się odtąd prostsze i całkiem przyjemne.

Może przystosowała się do spartańskich warunków, a może do głosu doszła jej prawdziwa natura? - z nadzieją zastanawiał się Cade.

- Wiesz, nigdy bym w to nie uwierzyła, ale zaczynam przyzwyczajać się do takiego życia - zagadnęła, bawiąc się znalezionym kokosem.

- Z dala od domu znalazłaś swój dom... Czy tak?
- W pewnym sensie to jest mój pierwszy dom...  
Mieszkam z rodzicami w Connecticut.
- Wyglądasz na kogoś z wielkiego miasta.
- Mam garsonierę na Manhattanie. Wpadam tam, gdy przyjeżdżają znajomi, na przykład Henry, ale wolę mieszkać u rodziców. Rzadko bywają w domu, więc inaczej nigdy byśmy się nie widywali. - Widząc minę Cade'a, wyjaśniła: - Tata jest już na emeryturze, ale rodzice często robią sobie wakacje. - Schyliła się po grejpfruta i schowała go do plecaka. - Trzydzieści lat po ślubie, a ciągle zachowują się jak nowożeńcy.
- Trzydzieści lat po ślubie? Nie tak jak moi rodzice.
- Ale kochają ciebie i twoją siostrę?
- Tak. - Zacisnął palce na kokosie. - Tylko że to nie wystarcza. Ze względu na mnie i Kelsey próbowali być razem, ale skończyło się fatalnie. Kłótnie, wzajemne oszukiwanie, a na koniec pranie brudów podczas sprawy rozwodowej. Kiedy ojciec powiedział o kochankach mamy, przerażała się, że sąd odbierze jej opiekę nad nami, więc wywiozła nas do dalekich krewnych. Nikt nie wiedział, gdzie jesteśmy, aż ojciec przystał na wszystko.
- A gdzie byliście?
- Na farmie w Kentucky. - Przypomniawszy sobie, jak ścisnął siostrę za rękę, gdy wysiadali z wynajętego samochodu. Bał się jak nigdy. Mama cała się trzęsła. - Nie chodziliśmy do szkoły, uczyli nas w domu. Z czasem to się nam spodobało. Na farmie hodowali konie. Rano szliśmy do stajni, potem nauka, później znów do koni. Za nic nie chcieliśmy wracać do Chicago. Na farmie było wspaniale, ani przez chwilę się nie nudziliśmy. Było tyle przestrzeni, zwierzęta, wszyscy nas kochali.
- Chciałabym mieszkać w takim miejscu.

W jej oczach było tyle tęsknoty... Nie przypuszczał, że ma takie pragnienia.

- Myślisz, że mogłabyś zamieszkać...

Przerwał mu głos rogu. Henry machał w ich stronę.

- Król powraca - mruknął Cade.

- Raczej książę playboy. Zobacz, jak się wystroił. Henry miał na sobie pomarańczowo - żółtą hawajską koszulę i takie same szorty. Trudno go było nie zauważyć.

- Może jest daltonistą - stwierdził Cade.

- Lub postanowił na stałe zamieszkać w swej Baśniowej Krainie.

- Witam moich kochanych rozbitków! - Henry zszedł na ląd. - Jak minął czas?

- Nieźle - odparła Cynthia.

- Tylko tyle? - Zmarszczył czoło. - Jak dajecie sobie radę?

- Skończyło się jedzenie i jesteśmy głodni - rzekł Cade.

- Nie ma jak się umyć - dodała Cynthia. - Jesteśmy brudni.

- Tylko ty. - Cade wznosił oczy do nieba. - Gdybyś weszła do oceanu, nie byłoby problemu.

- Mam się kąpać w tej solance?!

Od dwóch dni bez skutku spierali się na ten temat.

- Dajcie spokój - wkroczył do akcji Henry. - Oboje wyglądacie zdrowo. Cynthia, opaliłaś się.

- Raczej pobrudziłam.

- Nieważne. - Zatarł ręce. - Dziś czeka nas dobra zabawa.

Jak dla kogo, pomyślał Cade. Ale oczywiście był gotów na wszystko.

- To znaczy?

- Podchody. - Rozwinął kartkę czerpanego papieru ze starannie wykaligrafowanym tekstem. - To mapa i lista rzeczy, które macie znaleźć. Jeśli zdążycie wrócić przed zachodem, dostaniecie wspaniałą nagrodę.

- Jaką? - zapytała Cynthia.

- Dmuchany materac.

Przymknęła oczy. Skończy się spanie na twardej podłodze z bambusa. Popatrzyła na Cade'a. Choćby nie wiem co, muszą zdobyć materac.

- Ach, zapomniałem o jednym. - Henry uśmiechnął się łobuzersko. - Jeśli nie znajdziecie wszystkich przedmiotów z listy, zabiorę coś z waszego obozowiska.

- To nie fair - oburzyła się Cynthia.

- A kto powiedział, że będzie fair? - Henry uśmiechnął się. - Będę czekać na was w obozie.

- Tylko niczego nie ruszaj - ostrzegł go Cade.

- Nawet bym nie śmiał - uśmiechnął się Henry.

- Ufasz mu? - szepnęła Sterling.

- Nie. - Pomógł jej założyć plecak. - Pośpieszmy się. Czas mijał nieubłaganie.

- Szybciej - popędzał Cade. Słońce już było nad horyzontem. Brakowało im ostatniego przedmiotu. - Robi się późno.

- Zdamy. - Idąc, nawlekała na sznurek kwiaty hibiskusa, bo hawajski naszyjnik też był na liście. - Trudno robić dwie rzeczy naraz.

- Podobno kobiety są w tym doskonałe.

- Bo tak jest, ale teraz to co innego.

Miała rację. Ta jego lista od sasa do lasa. Bzdurniejszą trudno sobie wyobrazić: naszyjnik, mango, krab, łupina kokosa, róża, no i pleciony koszyk na te wszystkie znalezione rzeczy.

Sterling zrobiła koszyk z palmowych liści, posplatała je jak warkocz. Wymyśliła naszyjnik z kwiatów hibiskusa nawleczonych na nić dentystyczną. Cade był pełen uznania, sam by sobie nie poradził.



Jeszcze tylko ta róża. Ścieżka pięła się wyżej, zarośla gęstniały, gorące, wilgotne powietrze oblepiało ciało.

- Gotowe - oznajmiła, zakładając naszyjnik. Cade znowu popatrzył na mapę.

- Jeszcze tylko trochę.

- Skąd on wie, że tutaj są róże?

- Pewnie sam je tu przyniósł. Podeszła bliżej i zerknęła na mapę.

- Ile czasu nam to...

Nagle coś poderwało ich w górę. Omotani siatką, zawisli wysoko nad ścieżką. Cynthia, kiedy już przestała wrzeszczeć ze strachu, spytała:

- Myślisz, że to sprawka Henry'ego?

- A czyja? Zaznaczył na mapie ścieżkę i zastawił pułapkę.

- Cade rozmasował skronie.

- Znów cię boli?

- Tak. I wiem, komu to zawdzięczam.

- Nie mieści mi się w głowie, że mógł coś takiego zrobić. To ma być przyjaciel? Jak stąd wyjedziemy, już ja mu zorganizuję przygodę - powiedziała mściwie.

- Dobry pomysł. Ale ja nie zamierzam się poddać - mruknął zajadle Cade i poruszył się. Siatka zachwiała się niebezpiecznie.

- Przestań! Zaraz spadniemy!

- Nie bój się, nie spadniemy. - Dodawał jej otuchy, choć nie był pewien, jak długo siatka wytrzyma.

- Okropnie mi się wpija w ciało - jęknęła. - To boli.

- Gdybym miał teraz nóż... - Niestety był w koszyku, który zostawili na ścieżce.

Nagle Cynthia zaczęła gwałtownie się ruszać.

- Sterling, co robisz?

- Mam pomysł.

Wczołgała się na Cade'a. Zrobiło mu się gorąco.

- Sterling...
- Już prawie go mam. - Naparła jeszcze mocniej.
- Uff...

Ledwie wytrzymał tę perfidną torturę. Gdyby nie znał Cynthii, byłby pewny, że to sobie zaplanowała.

- Mam - oznajmiła z satysfakcją.
- Co masz?
- Przybory do manikiuru. Na szczęście były w plecaku.
- Zamierzasz zajmować się paznokciami? - sarknął ze złością.

- Później. Teraz przetnę siatkę.
- Czym? Pilniczkiem?!
- Cążkami do paznokci - odparowała.

Przez chwilę pracowała zawzięcie. Cade milczał i liczył upływający czas. Słońce zaraz zajdzie i Henry będzie górą. Ciekawe, co im zabierze? Garnek, koc czy może radio?

Chciał popatrzeć, jak jej idzie. Siatka się zakołysała.

- Nie ruszaj się.

Bez „proszę”. Już nie starała się być miła. Nie zależało jej, by ją polubił. Szkoda, Jej wcześniejsze zachowanie mu pochlebiało. Teraz układ jest prostszy i bardziej oczywisty, jednak też nie do końca. Bo zacząj patrzeć na nią inaczej.

- Gotowe - oznajmiła.

Obrócił się ostrożnie. Z boku siatki była wycięta dziura.

- Ty pierwszy czy ja? - zapytała.
- Najpierw ja. Będę mógł cię złapać.
- Ja też mogę cię złapać.

Już chyba niczym go nie zaskoczy.

- Wiem, ale teraz moja kolej.

Ześlizgnął się na ziemię, potem pomógł Cynthii. Przyjemnie było poczuć ją w ramionach. Jędrne, w odpowiednich miejscach miękkie ciało...

Schowała saszetkę z przyborami do plecaka.

- Bardziej się przydały niż rurka i płetwy.  
- Fakt. Przepraszam, że się krzywiłem. Pomaluję ci za to paznokcie.

- Trzymam za słowo. - Zarzuciła plecak. - Mamy jeszcze jedną rzecz do znalezienia.

Cade popatrzył na niebo.

- Czas się kończy.

- I tak chcę to znaleźć.

- No to w drogę! - krzyknął wesoło.

Nim znaleźli stojący na kamieniu wazon z różą i biegiem wrócili do obozowiska, Henry odpłynął. Wraz z nim zniknął jedyny koc.

- Szkoda, że nie zdobyliśmy materaca.

- Przynajmniej mamy siebie - rzekł Cade.

- Tak. - Dorzuciła gałęzi do ogniska. - Kiedy pomalujesz mi paznokcie? Teraz, czy po kolacji?

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Nocny chłód nie pozwalał zasnąć. Gdyby choć można było owinąć się kocem! Kusiło ją, by przytulić się do Cade'a. Byłoby cieplej. Walczyła ze sobą, wreszcie przysunęła się bliżej, ale to było wszystko, na co sobie pozwoliła. Zostało jeszcze siedem dni. Jakoś wytrzyma. Musi wytrzymać.

Gdyby tylko mogła porządnie się umyć.

Rano wyszła na brzeg oceanu i badawczo wpatrywała się w wodę. Niemal gładka tafla. Niewielkie fale leniwie lizały piasek. Nie wyglądały groźnie. Zrobiła krok do przodu. Marzyła o kąpeli... nie, o gorącym prysznicu z szamponem, maseczką na włosy, peelingiem i masażem. Może jednak spróbuje się zanurzyć. Zrobiła jeszcze krok. Nie jest tak źle.

Nadbiegająca fala rozbiła się o brzeg. Nie, nie ma mowy, by weszła dalej. Cofnęła się. Nie jest aż taka odważna.

A jeśli poprosiłaby Cade'a, by pomógł jej umyć włosy? Paznokcie pomalował świetnie. Słodki z niego facet.

W dodatku miły, przystojny, inteligentny, z poczuciem humoru i...

Bez grosza przy duszy.

Mimo to naprawdę go polubiła. Jest dobrym kumplem. Myśli o niej, jest wesoły, potrafi gotować. Ma swoje słabości. Podejrzanie często boli go głowa, jest uparty i zawsze chce postawić na swoim. Fakt, że czasem ma rację. No i z kimś innym raczej by nie wytrzymała na tej wyspie.

Gdyby tylko był tu prysznic.

Kolejna fala uderzyła o jej nogi. Cofnęła się.

- Boisz się takiej małej fali?

Zawsze była tchórzem i tak już zostanie.

- Woda jest zimna.

- Jest ciepła jak w wannie. Tylko mi nie mów, że kąpiesz się jedynie w jacuzzi.

- Nic ci nie powiem. - Zrobiła krok do tyłu.

- Mam szampon. - Pomachał buteleczką.

Ale z niego kusiciel! Zebrała się na odwagę i weszła nieco głębiej, lecz nadbiegająca fala przeraziła ją. Cynthia uznała, że woli już być brudna, niż zanurzyć się głębiej.

- Co to za mycie w słonej wodzie.

- Lepiej w słonej niż w żadnej.

- Ja... nie mogę.

- Nie możesz czy nie chcesz? - Lekko ją popchnął.

- Przestań! - krzyknęła histerycznie. - Proszę cię, Cade, ja nie...

Gdy znów ją popchnął, upadła, a fala przeszła górą. Oczy zapiekły, zabrakło powietrza. Nabrała wody w usta.

Zaraz będzie po niej. Ale nie podda się bez walki. Zaczęła się rozpaczliwie miotać, lecz powietrza coraz bardziej jej brakowało.

- Do diabła, co ty wyprawiasz? - Cade podniósł ją na nogi.

- Nie umiem pływać.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Próbowałam.

Fala rozbiła się z cichym pluskiem. Cynthia przypadła do Cade'a, ukryła twarz na jego piersi. Jest silny, utrzyma ją. Jednak wciąż była przerażona. Wiedziała, jak straszne mogą być morskie fale.

- Cała się trzęsiesz - powiedział cicho.

- Gdy miałam osiem lat, porwała mnie fala. Na szczęście zobaczył to ratownik. - Nabrała powietrza, by się uspokoić. - Od tamtej pory ani razu nie weszłam do morza.

- Przepraszam cię, Sterling. - Przygarnął ją do siebie.

- W porządku, nie ma sprawy. - Zacisnęła mocniej palce.

- Chodźmy na brzeg, dobrze?

- Skoro już jesteś w wodzie, może jednak się umyjesz?

- Widząc jej minę, dodał: - Będę przy tobie.

Biła się z myślami.

- Umiesz pływać?

- Mam licencję ratownika.

Popatrzyła na wodę. Fale nie były duże, łagodnie dopływały do piasku. Jednak...

- Sterling, będę cię pilnować. - Wziął ją palcem pod brodę. - Obiecuję, że nic złego cię nie spotka.

Wierzyła mu, ale nie zaszkodzi się ubezpieczyć.

- Jeśli coś mi się stanie, darowizna przypadnie.

- Jeśli coś ci się stanie, nie będę myśleć o darowiznie - rzekł z powagą, a ona z miejsca poczuła się raźniej. - Sterling, jesteśmy przyjaciółmi. Zależy mi na tobie. Nie chcę, byś bała się wody i czuła się zagrożona.

Uspokajały ją te zapewnienia. A jednak szkoda, że są tylko przyjaciółmi. Niestety inaczej być nie może. Chociaż żal, bo to wyjątkowy mężczyzna. Nigdy wcześniej takiego nie spotkała. I pewnie nie spotka.

- Dziękuję.

Puścił ją. Wyciągnęła do niego rękę, lecz odsunął się.

- Spróbuj sama. Powoli.

Woda muskała kolana. Nie jest tak źle, pomyślała.

- Wejdz głębiej - zachęcił.

- Nie. nie mogę.

- Spróbuj. - Gdy ujął jej dłoń, kurczowo go chwyciła. - Umyję ci włosy.

Obiecał, że nie odejdzie, więc nic złego jej nie grozi.

- Ale musisz puścić moją rękę - dodał.

- Tak. - Nie mogła się zdobyć, by rozluźnić uchwyt. Jego dłoń to gwarancja, że nie utonie, że nie pochłonie jej otchłan.

- Wejdz głębiej.

Woda sięgała jej do pasa.

- Dalej nie pójdę.

Cade znacząco pomachał butelką z szamponem. Zrobiła krok.

- Tyle wystarczy - rzekła stanowczo. Miała wodę do piersi.

- Świetnie ci idzie.

- Ale wcale się tak nie czuję.

Położył dłoń na jej ramieniu. Delikatnie uciskał napięte mięśnie barku.

- Rozluźnij się i odchyl głowę. Spięła się jeszcze bardziej.

- Nie chcę myć włosów.

- Lubisz sobie żartować! Zobaczysz, będzie dobrze.

- Ale będziesz mnie trzymał? Żeby woda mnie nie porwała - upewniała się gorączkowo. Ojciec puścił ją, by iść do mamy. Nadeszła fala i poniosła ją na otwarty ocean. Trwało to sekundy. Była sama i bezbronna.

- Zaufaj mi - powiedział. Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Dobrze.

Cade zmoczył jej włosy.

- No i co, takie straszne? - zapytał.

- Nie - wydusiła przez zaciśnięte gardło.

- Teraz wcieram szampon, więc zamknij oczy. Usłuchała go. Czowała na twarzy ciepły dotyk słońca, woda pluskała. Było niemal jak w ciepłym jacuzzi.

Rozluźniła się. Cade rozproszając szampon i pomasażując głowę, aż powstała piana. Czowała się trochę skrępowana, lecz było jej przyjemnie. Krew szybciej krążyła w żyłach. Dobrze, że łączy ich tylko przyjaźń, inaczej mogłoby dojść do niepotrzebnych komplikacji.

Splukał jej włosy i buzię.

- Gotowe.

Wyprostowała się i omal nie upadła. Miała dziwnie miękkie nogi.

- Dziękuję.

Nic innego nie przyszło jej do głowy. Wmawiała sobie, że był to tylko przyjacielski gest, lecz nie wyobrażała sobie w tej roli Henry'ego.

- Lepiej? - zapytał Cade.

- O wiele. - Podniosła na niego wzrok. Spojrzał na nią tak jakoś, że zadrżała. Serce zabiło jej szybciej.

Chciała coś powiedzieć, lecz nie zdążyła. Poczowała dotyk jego ust Przeszył ją dreszcz, zawirowało w głowie. Wprost nie wierzyła, że to się dzieje naprawdę.

Przywarła do niego mocniej, żarliwie oddała pocałunek. Nie jest mężczyzną z jej marzeń, lecz teraz go pragnie, chce jeszcze więcej. Cofnęła się. Lepiej nie ulec pokusie, nie przyzwyczajając się do niego.

Jednak prawda była taka, że nigdy dotąd nie przeżyła czegoś równie upajającego. .

- Jak się teraz czujesz?

Zaskoczona. Niespokojna. Poruszona do głębi.

Bezpieczna.

Ta dziwna kombinacja zbijała ją z tropu, a zarazem wprawiała w uniesienie. Jakby nagle wyostrzyły się jej wszystkie zmysły. Czowała pod nogami ziarenka piasku, nad głową słyszała śpiew ptaków, wokół pluskanie wody.

Cade uśmiechnął się, jakby na nim ten pocałunek nie zrobił żadnego wrażenia. Wiedziała, że to niemożliwe.

- Zobaczymy, jak będziesz się czuć jutro. Serce zatrzepotało jej w piersi.

- A co ma być jutro?

Cade wygiął usta w uśmiechu, oczy mu się śmiały.

- Jutro nauczę cię pływać.

Henry pojawił się na wyspie dopiero dwa dni później, Był w białej jedwabnej koszuli przypominającej krojem frak, do tego szorty. Miał dziwnie poważną minę. Pewnie już znudziła mu się ta przygoda.



Cynthia też nie mogła doczekać się końca. Trochę nauczyła się pływać, umiała rozpałić ognisko, otrząsała się z traperskim życiem, i to było dobre. Niestety nie mogła przestać myśleć o Cadzie i o tamtym pocałunku.

Wprawdzie oboje zachowywali się, jakby nic się nie wydarzyło, ale to były tylko pozory. Bezskutecznie wmawiała sobie, że nic się nie stało, i marzyła o następnym pocałunku. Pojawienie się Henry'ego powinno rozładować sytuację. Musi się otrząsnąć, nie może dać się opętać, jak stało się to z jej matką.

- Dzisiaj będziecie współzawodniczyć ze sobą - oznajmił Henry. - Tylko jedno z was może wygrać.

- Super - ucieszyła się Cynthia.

Już i tak za dużo robią wspólnie. To będzie pierwszy krok do odzyskania samodzielności.

- Nie protestujesz? - zdziwił się Henry.

- Po co? Czyż nie na tym polega twój pomysł? - odparowała ze złością. - Żebyśmy stali się prawdziwymi dzikusami, walczyli ze sobą o każdy kęs i rzecz.

- Ty ustalasz reguły - poparł ją Cade. - Jak wymyślisz, tak będzie.

Henry wyglądał nieswojo. Cynthia zaniepokoiła się, bo nigdy tak się nie zachowywał. Wprawdzie nieźle im dopiekł, jednak jest jej przyjacielem.

- Coś nie tak? - zapytała.

- Niestety nic nie mogę zmienić. - Przymrużył oczy.

- Dla zwycięzcy jest przewidziany luksusowy nocleg w prawdziwym łóżku z puchowymi materacami.

- Ach... - Rozmarzona przymknęła oczy. Już wyobrażała sobie tę rozkoszną miękkość, zapadanie się w puchową pościel...

- Do tego przysznic ze słodką wodą, kolacja i śniadanie - ciągnął Henry. - Z szampanem i winem.

- I bukiecikiem mimozy? - zapytała tęsknie.  
- Da się zrobić.  
- Na czym polega zadanie? - rzeczowo spytał Cade.  
- Bieg na orientację. Sterling aż jęknęła.  
- Nie dam rady go przegonić!  
- Nie chodzi tylko o czas. Trzeba wykazać się jeszcze innymi umiejętnościami. - Henry wyjął z torby dwa niewielkie urządzenia. - To GPS - y. Według nich będziecie się orientować. Po drodze będą punkty kontrolne. Kto zgubi trasę, przegrywa.

Cade powiesił urządzenie na szyi, obejrzał ekranik.

- Niezłe - rzekł z uznaniem.

Natomiast ona bezradnie obracała GPS - em w dłoniach. Nie miała pojęcia, co z tym zrobić. Jedyne plus to ten żółty kolor.

Henry objaśnił, jak działa urządzenie, lecz do Cynthia niewiele dotarło. Jednak gorący prysznic to pokusa, dla której była gotowa na wszystko. Nadstawiła ucha, zadała kilka pytań, wreszcie pojęła.

- Biegniecie w przeciwnych kierunkach wokół wyspy. W połowie drogi są dwie chorągiewki z waszymi imionami. Wygrywa ten, kto pierwszy wróci na metę z chorągiewką. - Henry wręczył im po butelce wody. - Jest gorąco, więc trzeba sporo pić.

Na znak Henry'ego wystartowali ile sił w nogach. Każde z nich chciało wygrać. Cynthia pędziła przed siebie. Marzyła o nocy w luksusie. Tak bardzo jak o pocałunku Cade'a.

Cade gnał najszybciej jak tylko potrafił. Czuł na plecach strużki potu. Musi być pierwszy. Musi udowodnić sam sobie, że kontroluje sytuację.

Gąszcz stawał się coraz bardziej zbity, powietrze było ciężkie od wilgoci. Nieważne. Musi biec, ile sił.

Wspaniały był ten pocałunek. Sterling jest niesamowita. Cudowne ciało, wielkie serce. Ale nie straci dla niej głowy. Jest całkiem inna niż Maggie i to kończyło sprawę. Liczyła się tylko fundacja.

Przedzierał się przez zarośla, gałęzie drapały go po rękach i nogach. Zerknął na GPS, zatrzymał się. Do diabła, przegapił punkt kontrolny. Jak to się stało?

Zawrócił. Musi bardziej uważać. Jest przecież zdany tylko na siebie.

I dobrze, bo zawsze wolał działać w pojedynkę. Wyznaczał cel i do niego zdążał, skoncentrowany na tym, co najważniejsze. Przez ostatnich kilka dni to mu się nie udawało. Zamiast o Uśmiechniętym Księżycu rozmyślał o Sterling. Dlatego musi wygrać. Udowodnić, że licząc tylko na siebie, zdoła więcej.

Wbiegł na polankę. Od razu spostrzegł zatknięte w ziemi flagi. Czerwona i niebieska. Czyli jest szybszy. Poczował przyływ adrenaliny. Wygrana jeszcze nie jest przesądzona. Cynthia jest zawzięta. Przemogła strach i zaczęła uczyć się pływać. Jest twardsza niż się zdawało. Jeśli czegoś chce, z determinacją dąży do celu. Podziwia ją za to.

Przestań o niej myśleć, skup się!

Chwycił chorągiewkę, ruszył. W zaroślach coś trzasnęło. Ptak albo jakieś zwierzę. Co go to obchodzi. Pomknął do mety,

- Wygrałem!

- Moje gratulacje! - Henry uścisnął mu rękę. - Jak daleko jest Cynthia?

- Nie mam pojęcia.

- Jak to? Nie minęliście się? - Spochmurniał.

- Nie. - Dopiero teraz to do niego dotarło. Przypomniał sobie dźwięki dochodzące z zarośli. Może to nie było zwierzę, tylko Sterling? - Pójdę jej poszukać.

- Przecież ma GPS, nie zgubi się.

Cade wbił oczy w gąszcz, nastawił uszu. Cisza.

- Może coś jej się stało.

- To by krzyczała - uspokajał Henry. - Chcesz obejrzeć film? - Wskazał na przenośne DVD.

Sterling jest bardziej odporna niż wygląda, jednak brak jej doświadczenia. Cade był coraz bardziej zaniepokojony,

- A jeśli jest w tarapatach?

- Nic jej nie będzie. - Henry sięgnął po puszkę z zimnym napojem. - Okropnie tu gorąco.

Wyobraźnia podsuwała mu coraz to nowe obrazy, każdy gorszy od poprzedniego.

- Idę po nią.

- Zaraz tu będzie.

A jeśli się myli? Zresztą są kumplami, grają w jednej drużynie.

- Idę...

- Cześć! - Cynthia wynurzyła się z zarośli. W rękę trzymała chorągiewkę. Butelka z wodą zniknęła. Miała zaróżowioną buzię, ubranie mokre od potu. Zmarkotniała, widząc Cade'a.

- Przegrałam...

- Przykro mi, kotku. - Henry zaczął pakować swoje rzeczy. - Tym razem wygrał Cade.

Z westchnieniem opadła na ziemię. Podrapane nogi, starte kolana, na prawej łydce kropelki krwi. Cade zamrugał, nogi się pod nim ugięły.

- Co się stało?

- Poślizgnęłam się i zgubiłam GPS. Musiałam wczołgać się w zarośla, żeby go znaleźć. Moja wina, powinnam była powiesić go sobie na szyi. - Wyciągnęła rękę do Cade'a. - Gratuluję.

Ujął jej czarną od ziemi dłoń.

- Nic ci nie jest?

Nim zdążyła odpowiedzieć, odezwał się Henry:

- Czas na nas.

Cade nie puszczał jej dłoni.

- Dasz sobie radę sama?

- Jasne - zapewniła bez wahania.

Puścił jej rękę, sięgnął po plecak i podążył za Henrym. Wygrał, lecz wcale się z tego nie cieszył. Odwrócił się do Cynthii.

- Pojedź za mnie.

Ze zdumienia aż otworzyła buzię.

- Przecież wygrałeś.

- Więc chyba mogę zrobić z nagrodą, co mi się podoba.

- Naprawdę chcesz to zrobić? - Oczy jej zalśniły.

- To dopuszczalna zmiana? - Cade popatrzył na Henry'ego.

- Jak najbardziej. Jeśli takie jest twoje życzenie...

- Tak, niech Sterling idzie za mnie.

- Dziękuję! - Zarzuciła mu rękę na szyję, musnęła jego usta. - Strasznie ci dziękuję!

Sam chciał jej podziękować. Za to przytulenie, za pocałunek. To było cudowne.

Zaraz sobie popływa, uspokoi się. Na kolację znowu ryba i owoce. Zdrowa dieta, dobra na cholesterol. A Sterling będzie zadowolona. To w sumie najważniejsze. Choć lepiej się w to zbytnio nie zagłębiać.

Zawróciła mu w głowie? Cóż, być może.

- Dobrej zabawy - powiedział z uśmiechem.

- Dzięki, Cade. Ale naprawdę mogę tu zostać. Wiedział, że mówiła prawdę. Tym większy był jego podziw.

- Jedź.

Pomachał im na odchodne. Henry miał dziwną minę, ale Cade nie zastanawiał się nad tym. Jedyne, czego chciał, to wskoczyć do wody, a potem rozpać ognisko.

- Cynthio, poczekaj - usłyszał głos Henry'ego. - Skoro Cade postąpił tak wspaniałomyślnie, chodźcie oboje. - Uśmiechnął się szelmowsko. - Uprzedzam jednak, że jest tylko jedno łóżko.

- Nie ma sprawy - odparła szybko. - Prawda, Cade? Skinął głową. To jedyne, na co go było stać. Jak ma

z nią spać, skoro nie może przestać myśleć o jej uścisku i pocałunku? Już w szalasiu, ma gołej podłodze, nie było mu lekko. Gdyby nie popołudniowe drzemki, to chodziłby na rzęsach. A tu prawdziwe łóżko, materac...

- Idziesz z nami? - zapytał Henry.

Tyle uczuć, tyle sprzecznych myśli. Ale przecież nie jest idiotą.

- Oczywiście, że idę.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Słońce powoli chyliło się za horyzontem, rozplamione niebo jarzyło się cudownymi kolorami. Wieczór zapowiadał się wspaniale.

Cade od dawna nie czuł się tak komfortowo. Pierwszy raz od wielu dni prawdziwa kąpiel i pachnące świeżością ubranie. Koszula z białego lnu i luźne spodnie czekały w namiocie kąpielowym. Aż nie chce się wierzyć, że Henry'emu udało się wyczarować na wyspie taki kawałek raju. Na rozległej plaży wzniesiono trzy białe namioty: kąpielowy, stołowy i sypialnię. Bajkowa sceneria, jak ze snu. Podwieszane nad stołem przezryste tkaniny tworzyły lekki jak mgiełka baldachim, stół i krzesła zdobiły girlandy egzotycznych kwiatów. Wnętrze tonęło w migotliwym blasku świec umieszczonych w czteroramiennym kandelabrze. Płomyki odbijały się w kryształowych paciorkach. Z radiomagnetofonu płynęła klasyczna muzyka, a zapach oceanu mieszał się z odurzającą wonią tropikalnych kwiatów.

- Cześć - powiedziała Cynthia. Miała na sobie białą lnianą sukienkę odsłaniającą ramiona. - Ale się wypucowaleś!

- Ty też. - Odsunął jej krzesło, a gdy usiadła, zajął miejsce na wprost niej.

Podał mu wysmukły kieliszek napełniony szampanem. Blask migoczącej świecy ciepło oświetlał jej buzię, podkreślał linię policzków i pełne usta.

- Za Cade'a Watersa. - Uniosła kieliszek.

- Nie zasłużyłem sobie na toast.

- Absolutnie się z tobą nie zgadzam. - W jej oczach zatańczyły złociste cętki. - Zachowałeś się po rycersku, odstępując mi wieczór luksusu. Przynajmniej mogę wnieść za ciebie toast.

Pocałunek też byłby całkiem na miejscu...

Nie, to już prawdziwa obsesja!

Kiedy stuknęła w jego kieliszek, upił łyk.

Szampan, dyskretna muzyka, świece.

Naraz spłynęło na niego olśnienie. Ta egzotyczna wyspa. Ta cała przygoda.

Henry próbuje ich wyswatać. Wszystko stało się oczywiste. Bezludna wyspa, konkursy, nawet dzisiejsza noc. Henry wcielił się w Kupidyna!

Pociągnął łyk szampana. Trudno o dwoje ludzi, którzy mniej do siebie pasują niż on i Sterling. Niedługo ona pewnie też się domyśli...

Nie, nie powie tego. Po co?

Jej przyjaźń z Henrym już została nadwerężona. Miałyby to jeszcze pogarszać? Z planów zarozumiałego miliardera nic nie wyniknie, więc tym bardziej zachowa te wnioski dla siebie.

Sterling opuściła kieliszek. Usta bez pomadki, zero makijażu. I dobrze, bo wcale nie jest jej potrzebny.

Zapatrzył się na jej usta. Ponętne, kuszące...

Opamiętał się. Za bardzo się na niej koncentruje. Henry byłby zadowolony. Niestety, rozczaruje się. Nie ma szans na romans. Co z tego, że Sterling wygląda tak uroczo?

- O czym tak dumasz?

Przyłapała go. Właściwie może powiedzieć prawdę.

- O tobie - odpowiedział. - Jesteś piękna.

- Dzięki. - Przeciągnęła palcami po nóżce kieliszka. - Założę się, że opowiadasz to każdej, z którą zły los uwięził cię na bezludnej wyspie.

Ma śliczny uśmiech. I usta stworzone do pocałunków. Cholera, on znowu o tym samym!

- Gotowy?

Do pocałunku? Popatrzył jej prosto w oczy.

- Do czego?

- Do jedzenia. - Zdjęła pokrywę z półmiska. - Umieram z głodu.



Podczas gdy Cynthia nakładała potrawy, Cade otworzył butelkę wina i napełnił kieliszki. Jedli w milczeniu. Delikatny kurczak, pilaw, szparagi z masłem, bagietka. Tego im brakowało.

Wreszcie odchyliła się na krześle.

- Już więcej nie dam rady - westchnęła.

- Jeszcze są świeże owoce, sery i zestaw deserów.

- Owoce sobie daruję, ale jeśli znajdzie się coś z czekoladą... - Westchnęła tęsknie. - Nie chciałbyś, żeby tak było co wieczór?

Cade upił łyk wina.

- Dziś jest wspaniale, ale na dłuższą metę szybko by się znudziło.

- Mnie na pewno nie. - Pogryzając czekoladowe ciasteczko, popatrzyła na Cade'a. - Nigdy ci nie żał tego, z czego zrezygnowałeś?

Przypomniał sobie swoje życie sprzed czasów fundacji.

- Nie, nie jest mi żal.. Byłem wtedy kimś zupełnie innym. Czas mijał na pracy, przyjęciach, podróżach. Naprawdę ciężko pracowałem, ale nic z tego nie wynikało. Nie stawałem się przez to lepszy. Padałem ze męczenia, bywałem trudny w kontaktach. Moim jedynym celem było zdobywanie forsy i uzyskanie najkorzystniejszych wyroków dla moich klientów.

- I co się stało?

Maggie. Nie, to nie tylko ona. Owszem, dopiero gdy odwołała ślub i odeszła od niego, otworzyły mu się oczy. Ale to nie był jedyny powód.

- Prowadziłem sprawę mojego kumpla, Thada. Jego dziewczyna z college'u zaszła w ciążę. Pobrali się, ale jego ciągle nosiło, nawet gdy już mieli dwoje dzieci. Jenny miała tego dość, a ponieważ Thad nie zgodził się na terapię rodzinną, wystąpiła o rozwód. Potwierdził, że jest świetną matką, jednak upierał się nad przyznaniem mu opieki nad

dziećmi. Wymyśliłem sposób, by to osiągnąć. Dwa tygodnie przed ostateczną rozprawą dostałem telefon, że jedno z dzieci jest w szpitalu. Thad zabawiał się z nianią, a pozostawione same sobie dzieci wyszły z domu. Mały Max wjechał rowerkiem prosto pod samochód.

Sterling pochyliła się nad stolikiem.

- I co mu się stało? - zapytała z niepokojem.

- Został poważnie ranny, ale przeżył. Mogło być gorzej.

- Boże, gdy sobie pomyślę, co musiała przejść jego mama i ty...

- To było jak kubeł zimnej wody. Zrezygnowałem z prowadzenia sprawy, a ponieważ szef naciskał, więc odszedłem z kancelarii. Dotarło do mnie, że sam rozwód nie zawsze jest największym złem, najbardziej cierpią niewinne dzieci. Postanowiłem im pomóc i dlatego, założyłem Uśmiechnięty Księżyc. Oto cała historia. - Sięgnął po butelkę.

- Chcesz wina?

- Jeśli wypiję jeszcze trochę, to usnę przy stole.

- To dobrze - uśmiechnął się. - Łóżko zostanie dla mnie.

- Jest takie szerokie, że wystarczy na dwie osoby. - Wbiła wzrok w talerz, zagryzła dolną wargę. - Spaliśmy w szałasie i nie było problemu. Jesteśmy tylko kumplami, prawda?

- Prawda - potwierdził. Może odrobinę za szybko. Szałas szałasem, ale to łożo... - Sterling, śpij w łóżku, a ja prześpię się na podłodze, na jednym z materacy.

- Nie, ty śpij w łóżku.

- No to rzucajmy monetą.

Przekomarzali się jeszcze przez chwilę. Wreszcie Cade zrobił poważną minę.

- Sterling, jesteśmy dorośli. Spaliśmy razem w szałasie. Teraz będzie tak samo.

- Uhm - przyznała bez przekonania.

Dziwnie nie śpieszyli się z deserem, aż wreszcie Cynthia prawie zasnęła przy stole.

- Zmęczona? - zapytał.

- Tak. A ty?

- Jestem wykończony.

- No i dobrze. Chodźmy się przespać. - Zarumieniła się. - To znaczy, chciałam powiedzieć...

- Wiem, co chciałaś powiedzieć.

Cóż, skoro oboje padają ze zmęczenia, usną, gdy tylko przyłożą głowę do poduszki. I po kłopotcie.

Weszła do namiotu. Powietrze było przesycone słodką wonią róż, lampion rzucał miękkie światło. Płócienne ściany tłumili szum oceanu. Ledwie przekroczyła próg, a poczuła się, jakby nagle znalazła się w innym świecie.

Pod bosymi stopami ugiął się miękki dywanik. Podeszła do łóżka i zastygła z wrażenia. Ogromne, rozłożyste, a na nim mnóstwo pączków białych róż.

To nie jest łóżko do spania, tylko do miłości. Serce podeszło jej do gardła.

- Och! - usłyszała za sobą okrzyk Cade'a. Oddychała powoli, by się otrząsnąć.

- Chcesz się przebrać w coś wygodniejszego? - zapytał.

Poza sukienką miała tylko kostium kąpielowy, ale to oczywiście nie wchodziło w grę. Im więcej będzie ich dzielić, tym lepiej.

- Nie, zostanę w sukience.

- Po której stronie chcesz spać?

W domu spała na środku, mając po bokach dwa koty.

- Wszystko jedno.

- Wolę prawą. - Wyciągnął się z rozkoszą na materacu. - To najwygodniejsze łóżko pod słońcem. - Wtulił głowę w puszystą poduszkę.

- Do tej pory spaliśmy na bambusowych gałęziach. - Zsunęła róże z poduszki. - . Nawet kawałek sklejki byłby rewelacją.

Cade uśmiechnął się.

- Zaraz się sama przekonasz.

Wślizgnęła się do łóżka. Puchowy materac był miękki jak marzenie.

- Och, mój Boże!

- A nie mówiłem?

- Mówiłeś. - Umościła się wygodnie, okryła leciutką kołdrą. - Jest bosko.

Migotliwe światło lampionu tańczyło na ścianach namiotu. Wszystko zdawało się nierealne. Nie miała pojęcia, jak Henry zdołał to urządzić, ale czy to ważne? Wspaniale jest w tym baśniowym świecie.

- Zgaszę światło - powiedział Cade i po chwili zapanowały ciemności. - Ale noc...

Miał rację. Cudowna noc. Brakuje tylko pocałunku na dobranoc. Lecz to odpada. Nie będzie taka jak jej rodzice.

- Jestem tu dzięki tobie. Dziękuję.

- Bardzo proszę.

Zasłuchała się w noc. Fale rozbijały się o brzeg, szumiały liście drzew, niosło się brzmienie cykad. Chciałaby powiedzieć Cade'owi tyle rzeczy, ale nie znalazła właściwych słów. Chciałaby go dotknąć, lecz dzieląca ich odległość zdawała się nie do przebycia. Nie takiego mężczyzny szukała, ale dziś nie miało to znaczenia. Tylko co będzie jutro? I później? Tego już nie była pewna.

A ona musi mieć taką pewność.

Może będzie śnić nie o Cadzie, ale o Travisie?

- Dobranoc, Cade.

- Dobranoc, Sterling.

Słońce przeświecało przez płócienny dach namiotu. Cade otworzył oczy. Czuł się wypoczęty i wyspany. Kto by pomyślał, że uśnie, mając u boku Sterling. A jednak tak się stało.

Przeciągnął palcami po włosach i nagle uświadomił sobie, że to włosy Sterling. Spała z głową wtuloną w jego ramię. Splątane włosy, pognieciona sukienka. Wyglądała rozkosznie, zachwycająco. Długie rzęsy rzucały cień na policzki, uśmiechała się łagodnie, jakby śniło się jej coś przyjemnego. Rozczulił go widok jej ufnej buzi.

Poruszyła się, otworzyła oczy.

- Dzień dobry. - Uśmiechnął się. - Jak się spało?

- Dziękuję. - Rozejrzała się po namiocie. - To już rano? Zarumieniła się, widząc, że patrzy na jej odsłonięte udo.

Nie chciał, ale to było silniejsze od niego. Pośpiesznie obciągnęła sukienkę.

Też był poruszony. Obudzić się obok atrakcyjnej blondynki, czuć jej ciepło, widzieć jej włosy rozsypane tuż obok twarzy, to nie był dla niego chleb powszedni. Choć łatwo mógłby to polubić.

Między nimi coś się zaczęło. Są kumplami, ale nie tylko. Szczęście, że zostało ledwie kilka dni.

- Dzień dobry! - usłyszeli wesoły głos Henry'ego. - Jeszcze śpicie, czy może robicie coś innego? Coś, co mógłbym sfilmować i puścić w Internecie?

Ten to ma wyczucie czasu! Pojawił się w samą porę. A może wręcz przeciwnie. Cade przeciągnął palcami po włosach.

- Zaraz wychodzimy. Cynthia wstała z łóżka.

- O co mu chodziło? - zapytała.

- O to. - Cade znacząco popatrzył na łóżko.

- No nie, tego na pewno sobie nie pomyślał. Że ty i ja... Uwielbiał, gdy była taka zmieszana.

- Po prostu taki już jest.

- Jeszcze przyjdzie kryśka na Matyska. Popamięta mnie.

W to nie wątpił.

- Daj mi znać, to sobie popatrzę. - Uśmiechnął się.

- Miło mi, że tak się dobrze bawicie - rozległ się głos Henry'ego. - Ale śniadanie wam stygnie.

„Śniadanie” zabrzmiało jak czarodziejskie zaklęcie.

- Głodna? - zapytał Cade.

- Po wczorajszej kolacji nie powinnam być głodna... ale jestem.

Cmoknął ją w dłoń, skłonił się.

- Mimozy już czekają, milady.

Henry przełknął ostatni kęs croissanta i wstał od stołu.

- Pora wracać do obozu.

Cynthia pośpiesznie zawinęła w serwetkę orzechowo - bananową babeczkę i schowała ją do plecaka. Ostatni raz popatrzyła na bajeczny zakątek, starając się utrwalić w pamięci każdy szczegół. Przeżyli tu z Cade'em cudowne chwile.

Chciałaby tu zostać, ale cóż, to był tylko moment, ułuda. Nic nie było realne. Nawet jej uczucia do Cade'a.

W drodze do obozu Henry pogwizdywał pod nosem. Znowu był taki jak dawniej.

Zrobili postój, sięgnęli po butelki z wodą mineralną.

- Och, byłbym zapomniał - powiedział Henry. - Pytano o ciebie, kotku.

- Kto?

- Travis. Martwi się. Chciał się upewnić, czy pamiętasz o kremie z filtrem.

Poruszyła się niespokojnie. Powinna czuć się dowartościowana, że Travis tak się nią przejmuje, lecz wcale jej to nie ucieszyło.

- Kto to jest Travis? - zapytał Cade.

- Travis Drummond - odparł Henry. - Miły chłopak, dość zamożny. Prowadzi interesy ojca. I ma słabość do Cynthii.

- Jesteśmy przyjaciółmi. - Na razie. Niech no tylko wyrwie się z wyspy! Może Travis nie jest szczytem jej marzeń, ale uwielbia ją. Nie to, co Cade. Z nim sprawa jest bardziej skomplikowana... to ona mogłaby się w nim zatracić, zapomnieć o bożym świecie. Nie, Cade absolutnie odpada.

Henry zrobił sceptyczną minę.

- Bliskimi przyjaciółmi - rzekł, puszczając oko. Najchętniej by go zabiła. Po co się wtrąca?

- Chodźmy - powiedziała, robiąc krok do przodu.

- Nie chcesz wiedzieć, kto dzwonił z Connecticut?

Rodzice. Zaczęli się denerwować, że tak długo nie wraca.

Przez całe życie czekała na taki moment. Przepełniła ją radość. Odwróciła się raptownie i poślizgnęła na mokrej ziemi, ale Cade podtrzymał ją. Oparła się na jego piersi. Zabrakło jej powietrza.

- Dzięki - wydusiła z trudem.

Puścił ją, ale ciągle czuła na skórze gorący dotyk jego rąk. Tym bardziej musi się z niego wyleczyć. Travis bardziej się nadaje.

- Co mówili rodzice? - Wbiła wzrok w Henry'ego.

- Dzwoniła Bridget - odrzekł miękko. Oczy mu złagodniały. - Niepokoi się o ciebie.

Bridget od lat zarządzała domem. Nie miała dzieci i Cynthię traktowała jak córkę. Ale Bridget to nie rodzice. Tak marzyła, by wreszcie ją dostrzegli. Jest dorosła, lecz w głębi duszy kryła się w niej mała dziewczynka biorąca cotygodniowe lekcje tańca i z utęsknieniem czekająca na rodziców, by się przed nimi pochwalić. Tylko że oni nigdy nie przyjechali na pokaz. Wtedy to bardzo bolało. Teraz też.

- Powiedziałem, że niedługo wracasz. I dasz jej znać, gdy zabukujesz bilet.

- Jasne. - Ona nigdy nie będzie taka dla swoich dzieci. Zawsze będzie przy nich, na dobre i na złe.

- Pora na konkurs - oznajmił Henry, zerknąwszy na zegarek.

Och, te konkursy... Miała dość problemów z rodzicami, z Cade'em. Gdyby był taki jak Travis. Ale nie jest.

- W obozie przebierzcie się w kostiumy - ciągnął Henry. - Tobie, Cynthio, radzę jednoczęściowy. Będziecie pływać.

- Pływać? - Zatrzymała się w miejscu.

- Sztafeta pływacka - wyjaśnił Henry.

Zagryzła usta.

- Zjedliśmy zbyt duże śniadanie, by pływać - powiedział Cade.

Zrobił to dla niej, by nie musiała wyznać, że się boi. Poczwała ciepło na sercu. Jest naprawdę świetnym kumplem. Więcej niż kumplem.

- Szkoda. - Henry przebijał się ścieżką przez gąszcz. - Bo nagrodą jest dmuchany materac, pościel i dwie rzeczy z czarodziejskiego kuferka.

Po dzisiejszej nocy perspektywa spania na bambusowej podłodze bez koca i poduszki była nie do zniesienia.

- A mogę płynąć w kamizelce ratunkowej? - zapytała.

- Tak - przystał Henry.

- No to w porządku - zdecydowała.

- Sterling... - zaczął Cade.

- W porządku. - Doceniała jego starania. I czerpała z nich siłę. - Musimy spróbować.

- Ale...

- Nie ma żadnego ale. - Wzięła się pod boki. - Boisz się, że się skompromitujesz jako nauczyciel pływania?

Cade wybuchnął śmiechem.

- No to startujemy.

Henry uśmiechnął się szeroko.



- Oto słowa, których przyjemnie słuchać!

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zapadał wieczór, ciepły blask ogniska rozjaśniał mrok. Cade wrzucił do ognia kolejną gałąź. Wciąż nie mógł wyjść ze zdumienia, jak Cynthia dzielnie pokonała całą trasę.

- Byłaś rewelacyjna - powiedział.

- Łatwo płynąć pieskiem w kapoku. - Wzruszyła ramionami.

- Mimo to pięknie się sprawiłaś. - Usiał obok niej. - No i dzięki temu tyle zyskaliśmy.

Zaśmiała się cicho, ciepło.

- Po prostu nie wierzę, że wybrałaś słodycze.

- A ja nie wierzę, że wzięłaś zestaw do nurkowania.

- Urozmaici nam to menu. Przez chwilę wahałam się, czy nie wziąć tabletek przeciwbólowych, ale chyba nie są nam już potrzebne. - Widząc jego minę, wyjaśniła: - Wcześniej łykałeś je garściami, bo bolała cię głowa.

- To już przeszłość. - Na dokuczliwe bóle głowy wcześniej nic nie skutkowało. Lekarz twierdził, że są wynikiem stresu.

W jej oczach zalśniły złociste cętki.

- Pasuje ci takie życie na wyspie.

Jeszcze kilka dni temu tak by nie pomyślał. Jednak teraz widział to inaczej. Przyjemnie jest żyć na luzie, czuć się wolnym człowiekiem.

- Tutaj wszystko jest proste.

- To prawda.... Myślałam, że będzie mi brakowało tylu rzeczy, a tak nie jest.

- Na przykład czego?

- Telewizji, sklepów, modnych ubrań, kosmetyków... - Zapatrzyła się w ogień. - Już jako mała dziewczynka bardzo dbałam o wygląd. Tak twierdzi Bridget.

- To ona dzwoniła do Henry'ego?

- Tak. Bridget od lat prowadzi rodzicom dom.

- O co chodzi?  
- Nie rozumiem. - Uciekła wzrokiem.  
- Naprawdę nie chcesz pogadać?  
- Mówisz jak dziewczyna.  
- Mam siostrę, więc znam się na rzeczy.  
- Zawsze chciałam mieć siostrę i brata. - Westchnęła. -  
Marzyłam o dużej rodzinie. Mieć kogoś, komu można  
powiedzieć, co człowiekowi leży na sercu.  
- Masz mnie - wyszeptał. - Sterling...  
- Nie ma o czym mówić.  
Przesunął ręką po jej dłoni. Cynthia cofnęła się.  
- Chodzi o Travisa? - nalegał.  
- Nie.  
Ta odpowiedź sprawiła mu wielką ulgę.  
- Powiedz mi.  
- Chodzi o rodziców. Myślałam, że się o mnie martwią, a  
dzwoniła Bridget. Tylko jej na mnie zależy.  
Mnie też, pomyślał w duchu, zaskoczony tym  
stwierdzeniem. Choć nie powinien się dziwić. Jadą na tym  
samym wózku.  
- Nie obchodzi ich, co się ze mną dzieje.  
- Myślałem, że mieszkanie razem.  
- Bo tak jest. Inaczej w ogóle by zapomnieli, że mają  
córkę.  
- Daj spokój.  
- Nie żartuję. Są tak zapatrzeni w siebie, że nic innego dla  
nich nie istnieje - rzekła smutno. - Nikt i nic. Nie chcieli  
więcej dzieci. Mama stwierdziła, że nie zdawali sobie sprawy,  
ile z tym zachodu. Dlatego jedno wystarczy.  
- Wychowanie dzieci nie jest prostą sprawą.  
- Gdy o wszystko troszczą się niańki i gosposie, a potem  
szkoła z internatem? - Wzruszyła ramionami. - Teraz to już

nie ma znaczenia. Przynajmniej Bridget wie, gdzie się podziewam.

Przepełniło go współczucie. Otoczył ją ramieniem.

- Nie martw się, nie będę płakać. Zahartowałam się na wyspie. Niepotrzebnie się przy tobie rozklejam. Zaraz ucieknę w busz.

- Nie puszczę cię. - Uścisnął jej dłoń. - Cieszę się, że jestem przy tobie w takiej chwili. Po to się ma przyjaciół. Bo przecież jesteśmy przyjaciółmi?

- Ja... Tak, jesteśmy.

- Jak ty i Henry?

- On jest dla mnie raczej jak brat.

- Ja mam siostrę.

- Chodziło mi...

- Wiem, o co ci chodziło.

Jest zupełnie inna, niż myślał. Złakniona miłości, czułości i poczucia bezpieczeństwa. I wcale nie taka pewna siebie, tylko nadrabia miną. Zależy mu na niej. Są partnerami w grze, przyjaciółmi, czymś więcej...

Nie powinien jej całować, lecz bardzo tego potrzebowała. Dotknął jej ust. Robi to dla niej, nie dla siebie.

Krew zaszumiała mu w żyłach, serce zabiło jak szalone. To było coś więcej niż tamten pocałunek w wodzie czy niewinny buziak, gdy dziękowała za odstąpienie nocy w luksusie. To, czego teraz doświadczał, oszałamiało, poruszało do głębi.

Przywarta do niego mocniej, słyszał bicie jej serca. Wiedział, że powinien przestać, lecz nie mógł. Nie chciał. Tego tylko pragnął, o tym marzył.

Ta myśl go otrzeźwiła. Przestał ją całować.

Popatrzył na jej zaróżowione policzki i nabrzmiałe usta. Jak to się stało, że stracił głowę? Co ta Sterling z nim wyczynia?

Zapatrzyła się w migoczące płomyki. Milczała. On też nie umiał znaleźć stów. Jej usta kuszą. Nie, nie pocałuje jej. Nie szukał kobiety, by dzielić z nią życie. Zresztą Cynthia byłaby ostatnią osobą, z którą mógłby się związać. Wprawdzie zmieniła się, lecz daleko jej do Maggie.

A jednak... Sam już nie wiedział.

Popatrzyła na niego. Jest taka słodka, taka bezbronna.

- Dzięki za całusa, Cade. To co teraz?

Teraz weźmie się w garść. Przede wszystkim musi pamiętać o Uśmiechniętym Księżycu. I nie popełniać błędów. Puste konto, pustka w sercu. Sterling zasługuje na więcej, niż może jej ofiarować.

- Poddaliśmy się chwili... - zaczął. - Myślę, że najlepiej będzie zapomnieć o tych pocałunkach.

Nic na to nie odpowiedziała. Liczył, że Sterling znajdzie jakieś racjonalne wyjaśnienie; wtedy znowu mógłby ją pocałować. Ale ona tylko skinęła głową.

- Zgadzasz się?

- Tak.

- To dobrze - rzekł bez przekonania. - Świetnie.

- To najlepsze wyjście.

Poczuł się, jakby dostał w twarz.

Leżała w ciemności, daremnie próbując usnąć. Teraz, gdy mieli dmuchany materac i pościel, nie było pretekstu, by się przytulić do Cade'a. W dodatku ciągle prześladowało ją wspomnienie niedawnych pocałunków, czuła dotyk jego warg. I marzyła, by znowu ją pocałował.

Zmieniła się przy nim. Jeszcze nigdy nie było w niej tyle życia, tyle energii. Dzięki niemu czuje się piękną, atrakcyjną kobietą. Przełamała swoje lęki, zyskała pewność siebie.

Chciałaby dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Co lubi, co budzi w nim niechęć. Co dostał na dziesiąte urodziny. Pragnie, by ją całował. Chce więcej.

Szkopuł w tym, że Cade ma inne zdanie. Widziała to po jego oczach. Żałował, że w ogóle ją pocałował. Czyli zostaną jej tylko wspomnienia.

Trudno, musi zejść na ziemię. Pamiętać, co jest ważne.

Tylko że teraz już nic nie jest oczywiste. Bo w jego ramionach jest jej dobrze i bezpiecznie. Co z tego, że nie ma pieniędzy, że zerwał z rodziną? Liczą się uczucia.

Dadzą sobie radę. Ona ma pieniądze. Wprawdzie nie tyle, co Henry czy Armstrongowie, nawet mniej niż Travis, ale wystarczy na dach nad głową i studia dla dzieci. Mogą żyć z jej kapitału, w końcu co w tym złego?

Wstąpiła w nią siła i nadzieja. Dotąd zakładała, że to mąż ma' zapewnić jej dostatnie życie, lecz teraz chciała kogoś, z kim będzie na tych samych prawach, jak równy z równym.

Nie zatraci się w uczuciu do Cade'a. Gdy przestał ją całować, nie błagała o więcej. To dobrze rokuje.

A więc Cade czy Travis? Westchnęła. Może jednak w życiu liczy się coś więcej niż tylko wygoda, może chodzi o coś więcej.

Już jedenaście dni są na wyspie. Kiedy to wreszcie się skończy? Przebywanie sam na sam ze Sterling doprowadzało go do szaleństwa. Chwilami bał się, że przestanie ręczyć za siebie. Że w nocy zacznie ją przytulać, a potem...

Wziął kolejne mango. Wszystko, byle tylko zająć myśli.

Jest zmęczony i niewyspany. Wolał już twardą podłogę, przynajmniej mógł się odsunąć od Sterling. Sterling...

Zaraz, gdzie ona się podziała? Poszła zbierać owoce, ale już dawno powinna wrócić.

- Sterling!

Żadnego odzewu.

- Sterling! Wracaj do obozu! Mam kilka mango.

Znowu cisza. Chyba musiała coś znaleźć. Albo się z nim droczy. Ciekawe, z jakiego powodu.

- Cade! - usłyszał jej krzyk.

Popędził przez gąszcz. Czy coś się jej stało? Jeśli tak, to zabije Henry'ego!

Wpadł na plażę. Sterling stała na brzegu, w ręku trzymała butelkę. Podniosła ją triumfalnie.

- Zobacz, co znalazłam! W środku jest list.

Cade oddychał powoli, próbując się uspokoić.

- Dlaczego tak krzyczałaś?

- Myślałam, że to meduza. - Przyjrzała mu się badawczo, buzia się jej rozjaśniła. - Martwiłeś się o mnie:

- Raczej bym tego tak nie nazwał - burknął.

- Martwiłeś się! - Dotknęła jego ręki. - Jakie to miłe.

Zdenerwował się.

- Miłe! - prychnął. - Przez ciebie mogłem stracić nagrodę.

Uśmiechnęła się figlarnie.

- Biegłeś jak szalony, bo bałeś się stracić pieniądze?

- Darowiznę - sprostował.

Kłamał. Bał się o nią, ani przez chwilę nie myślał o pieniądzach. Niestety, wpadł po uszy.

- Zobaczmy, co jest w liście. - Wyciągnęła kartkę. - To mapa. Ma zaznaczony punkt.

- Kolejna zabawa Henry'ego.

- Jak on to dostarczył? Zresztą nieważne... To co, Cade, idziemy?

- Jasne. Weźmy tylko plecaki i wodę.

Ścieżka wiodąca przez gąszcz stawała się coraz węższa. Wreszcie dotarli do polany, pośrodku której stała chatka z liści palmowych. Przed nią paliło się ognisko, leżał koc i koszyk piknikowy.

- Czyżby Henry przygotował dla nas lunch? ~ zdumiał się Cade.

- To by było za proste...

Podeszli bliżej. Przy kocu stał radiomagnetofon. Cade uruchomił go.

- Witajcie, rozbitkowie - rozległ się głos Henry'ego. - Dziś zakosztujecie tubylczego życia. W chatce znajdziecie stroje i akcesoria do wyprawienia tradycyjnego święta. Jeśli wszystko pójdzie jak należy, w nagrodę zabierzecie kosz z jedzeniem. Powinno wystarczyć do końca pobytu. Tylko nie łudźcie się, że nie widzę, jak sobie radzicie. Aloha!

- Wielki Brat patrzy.

- Pewnie cała wyspa jest monitorowana.

Od razu przypomniał mu się pocałunek przy ognisku, a Sterling popatrzyła na niego znacząco. Pewnie pomyślała o tym samym.

- Tak daleko by się nie posunął - mruknął niepewnie Cade. A więc cały czas trzeba mieć się na baczności. Niech szlag trafi Henry'ego! - Bierzmy się do dzieła - powiedział.

Po kilku minutach Cynthia wyszła z chatki. We włożonej na bikini spódniczce z trawy i kwiatami we włosach wyglądała prześlicznie. Cade ukrył się w zaroślach. Nie miał zamiaru wystawiać się na oko kamery... i Sterling.

Musiała długo go zachęcać, by się wreszcie wynurzył. Czekoladki widoczne w koszyku były pokusą, jakiej nie mogła się oprzeć. Wreszcie Cade uległ.

Czuł się strasznie. Skórzana przepaska na biodrach, pióropusz z liści oplatający ramiona. Wypisz, wymaluj Tarzan.

- Tylko się nie śmiej - poprosił ponuro.

- No nie.,. - Zachichotała. - Wyglądasz...

- Jak idiota?

- Bardzo seksownie. - Uśmiechnęła się szeroko. - Bardzo mi się podoba.

Seksownie? Nie bardzo wiedział, co na to powiedzieć.



- Lepiej wezmę się do szykowania uczy, żeby nie zrobić czegoś, czego potem będę żałować - dodała szybko.

Oczy jej się skrzyły. Zrobiło mu się gorąco. Chciał jej dać to, o czym nigdy się nie zapomina, i wspomina z żalem, że już nigdy nie wróci.

- Co tobie Henry wyznaczył? Wolałby, by zapytała o jego pragnienia.

- Wyciągnąć z żaru prosiaka, który się piecze od wczoraj.

To było jak zabawa w dom. Zabawa, która całkiem przypadła jej do gustu. Bardziej niż powinna.

Cóż, tylko udawali. Jutro znowu znajdą się w obozie i wszystko wróci do normy.

Cade rozstawił pochodnie, Cynthia przyniosła potrawy. Uczta okazała się wyśmienita. Gdy skończyli jeść, nadszedł czas na kolejne zadania. Cade uderzył w bębenek i zadał w muszlę. Potem przyszła pora na Sterling. Zaczęła taniec przy dźwiękach polinezyjskiej muzyki. Początkowo szło jej opornie, jednak szybko złapała rytm. Cade wpatrywał się w nią jak urzeczony. Jego zachwyty dodawał jej skrzydeł. Tańczyła dla niego. Nie zastanawiała się, czy Henry to ogląda.

- Zatańcz ze mną - zachęciła Cade'a.

Dołączył do niej. Marzyła, by ten taniec nigdy się nie skończył. Jednak muzyka ucichła. Tak jak niedługo zakończy się ich przygoda na wyspie. Chciałaby tu zostać. Z Cade'em.

Ich spojrzenia się skrzyżowały. Marzyła, by ją pocałował... a on odszukał jej usta. Tym razem całował inaczej, zaborczo, gwałtownie. Zatapiała się w tym pocałunku, w jego upojonej słodyczy. Gorąca tropikalna noc spowiła ich ciemnością. Może to ostatni pocałunek?

Uniosła się na palcach, zarzuciła mu ręce na szyję, przeciągnęła palcami po napiętych mięśniach. Cade ujął w dłonie jej twarz. Westchnęła cicho. Była wszystkim, czego pragnął, o czym marzył.

Bała się w nim zatracić, a odnalazła w nim samą siebie.

Krople deszczu uderzyły o ziemię. Sterling cofnęła się. Była jak odurzona. Cade wziął ją za rękę, pociągnął do chatki.

- I co teraz zrobimy? - zapytała. Wiedziała, czego chce, ale bała się to powiedzieć.

- Będziemy spać. - Podsunął jej matę z liści. - Pamiętaj, że Wielki Brat patrzy.

Zapomniała o tym. Zapomniała o wszystkim z wyjątkiem Cade'a i jego pocałunku. I po raz pierwszy nie chciała się nad tym zastanawiać.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jak zasnąć, mając przed oczami jej rozjaśnioną twarz, włosy rozwiane w tańcu, płynne ruchy smukłego ciała? Musi, po prostu musi trzymać się od niej jak najdalej. Bo gdyby nie świadomość, że Henry śledzi ich przez kamerę... Minęło sporo czasu, nim wreszcie udało mu się usnąć.

Rankiem ruszyli do obozu. Sterling szła boso, bo gumowe klapki rozjeżdżały się na błotnistej ścieżce. Przypomniwał sobie, jak stąpała po piasku na obcasach. Miał wrażenie, że od tamtej pory minęły nie dni, a całe lata. Stała się inną osobą. Przystosowała się do życia na wyspie, gdy trzeba, ciężko pracowała. I co dzień witała go uśmiechem na ślicznej buzi. Inne by się użalały na spartańskie warunki, ale nie Sterling.

- Zacziesz chodzić na obcasach, gdy wrócimy do cywilizacji?

- Kto wie. - Zwilżyła językiem usta. Powoli, zmysłowo. Zrobiło mu się gorąco. - Niektórzy mężczyźni lubią bose kobiety.

Jemu podobała się zawsze i we wszystkim... Opanuj się! - zbeształ się w duchu. Po opuszczeniu wyspy nigdy się nie spotkają...

- A ty? - zapytała. - Wolisz bose stopy czy różowe klapki?

- Jedno i drugie ma swój urok.

- Och, ci prawnicy! - Wzniosła oczy do nieba. - Zawsze odwróć kота ogonem i mówią tak, żeby niczego nie powiedzieć.

Naraz zmieniła się na twarzy. Zakryła usta dłonią.

- Cade - . wydusiła. - Nasz obóz.

Popatrzył i skamieniał. Po burzy obóz przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. Przewrócona palma zgmiotła szałas, tylko skrzynie przetrwały w nienaruszonym stanie. A więc radio również ocalało. Za to reszta...

Próbował pocieszyć zrozpaczoną Cynthię, przygarnął ją do siebie.

- Tyle pracy, tyle się narobiłeś - wyszeptała.

- Ty również.

- Musimy szybko odbudować szalas - powiedziała stanowczo. - Tym razem wygrała natura, ale ja tak łatwo się nie poddam.

Tego spodziewał się po swojej Sterling.

Jego Sterling? Ani teraz, ani w ogóle.

Po prostu Sterling. Dziewczyna, którą lubi i szanuje. I której będzie mu brakowało, gdy ich przygoda szczęśliwie dobiegnie do finału. Którą chciałby całować na dobranoc i budzić pocałunkiem.

- To bierzmy się do pracy. - Sięgnął po palmowy liść.

Szarpnęła bambusową gałąź wbitą w muł. Znowu nic.

- Poczekaj, wezmę inną, ta nie pójdzie - rzekł Cade.

Nie chciała zrezygnować. Pchnęła ją mocniej i nagle gałąź pękła, Cynthia straciła równowagę i poleciała do przodu. Ręce zaryły się w błoto. Lewą stopę przeszył ostry ból. Krzyknęła.

- Co ci się stało? - Cade przypadł do niej. - Co cię boli?

Poruszyła się ostrożnie. W nodze pulsował obezwładniający ból. Bambusowa łodyga przebiła stopę. Z rany lała się krew.

- Stopa... - wydusiła. - Ale nie patrz.

Nie posłuchał. I od razu zrobił się blady jak ściana.

- Cade... - Wyciągnęła do niego rękę.

- Zaraz wezwę pomoc przez radio.

Nie chciała płakać, lecz ból był nie do zniesienia. Tak wiele przeszła, że teraz nie może się poddać. Oddychała miarowo. Cade wie, co robić. Zajmie się nią.

- Henry już jest w drodze. - Okrył ją kocem. - Ściągnie po ciebie śmigłowiec.

- Ale jeszcze nie upłynęły dwa tygodnie. - Napotkała jego spojrzenie. - Przegramy. Ty przegrasz.

- Musisz się znaleźć w szpitalu.

- Ale...

- Żadnych ale. - Położył palec na jej ustach.

Nie tak wyobrażała sobie zakończenie ich przygody. Przepęniało ją tyle uczuć, tyle żalu. Zamknęła oczy.

- Przepraszam.

- Nie masz za co przeproszać. - Odgarnął z jej twarzy pasemko włosów. - Jesteś blada. Może czegoś chcesz?

Ciebie. Nie ma znaczenia, czy jesteś bogaty, czy nie masz grosza przy duszy. Jeśli tylko jesteśmy razem...

- Tu jest wszystko, czego mi trzeba.

- Już niedługo. - Uśmiechnął się blado.

- Przecież jesteśmy na środku Pacyfiku.

- Henry mi teraz powiedział, że to wysepka w pobliżu Hawajów. - Otarł jej buzię wilgotną ściereczką. - Jacht, którym nas tu przywiózł, celowo krążył naokoło, by nas zmylić.

Wirowało jej w głowie, ogarniał ją chłód.

- Chcę do domu.

- Już niedługo. - Jego ciepły głos dodawał jej sił. - Trzymaj się, dobrze?

Odetchnął z ulgą, gdy rozległ się dźwięk rogu. Jacht Henry'ego podpływał do lądu. Na brzegu zaroilo się od ludzi.

- Helikopter zaraz się zjawi. - Henry pogładził Sterling po policzku. - Jak tylko ruszymy, od razu poczujesz się lepiej.

Nie chciała stąd wyjeżdżać.

- Ale dwa tygodnie jeszcze nie minęły... Nie chcę, żeby... Co teraz będzie?

- Nie martw się. Wystarczy, że Cade zostanie do końca. - Wziął ją za rękę. - Jeśli wytrzyma, wygrana wasza.

Serce się jej ścisnęło. Nie chce, by Cade tu zostawał. Niech jedzie z nią. Jest jej potrzebny. Bo... kocha go. Czują utkwione w nią spojrzenie Cade'a.

- Chcesz, żebym został?

Nie, krzyczało w niej w środku. Opanowała się.

- Ja... przecież chodzi o darowiznę dla fundacji.

Nie odrywał od niej wzroku. Wiedziała, co robi. Serce rozrywało się jej na strzępy.

- Zostanę - powiedział.

Zdusiła wzbierający w niej szloch. W jakimś stopniu rozumiała jego decyzję. Uśmiechnięty Księżyc tyle dla niego znaczy, a suma ofiarowana przez Henry'ego pomoże tak wielu dzieciakom. Jednak to racjonalne wyjaśnienie nie pomagało. Czują się zdruzgotana.

Są kumplami, nawet przyjaciółmi. Jednak na pierwszym miejscu jest fundacja. Ona się nie liczy. Jest taki jak rodzice. Czują, że zapada się w pustkę.

Powietrze wypełnił warkot nadlatującego śmigłowca. Ratownicy ułożyli ją na noszach, podłączyli kroplówkę.

Umierała z bólu. Stopa się wygoi, ale co z jej sercem? Powstrzymywała palące łzy. Nie będzie płakać. Wylała tyle łez z powodu rodziców. Nie będzie płakać przez Cade'a.

- Chcesz teraz swoją nagrodę? - zapytał Henry.

Jest jej tak ciężko. Musi zająć myśli czymś innym, przestać się zadręczać.

- Tak - powiedziała.

Henry podał jej pudełeczko obciążone czarnym aksamitem.

- Oto twoja nagroda, skarbie.

Wysadzany szafirami i brylantami naszyjnik zaśnił w słońcu. Obok identyczna bransoletka. Pamiętał, jak bardzo jej się spodobały te klejnoty, gdy włóczyli się po Nowym Jorku.

Delikatnie dotknęła kamieni. Łzy napłynęły jej do oczu. Marzyła, że ten komplet ofiaruje jej narzeczony lub mąż. Gdyby dostała go od Cade'a! Choć ze strony Henry'ego to miły gest.

- Dziękuję.

- Zasłużyłaś sobie.

Pewnie, że sobie zasłużyła. Ma być z czego dumna.

- A gdzie pierścionek? - zapytała.

- Daj palec, a urwie całą rękę - zaśmiał się Henry. - Ktoś inny ci go kupi.

To nie będzie Cade... Trudno, najwyżej kupi go sama.

- Założyć ci naszyjnik? - zapytał Henry.

- Bardzo proszę.

- Ja to zrobię. - Cade sięgnął do pudełeczka. Odgarnął na bok warkocz i delikatnie zapiął naszyjnik.

To było ponad jej siły. Z trudem powstrzymywała łzy.

- W sam raz dla ciebie - ocenił z uznaniem. To ty jesteś w sam raz dla mnie.

- Pora się zbierać - oznajmił ratownik.

Popatrzyła na Cade'a, szukając właściwych słów. Nic odpowiedniego nie przychodziło jej na myśl. Samo „do widzenia” to za mało. Ucałował ją w czoło.

- Trzymaj się, Sterling.

- Ty też, Armstrong. - Nie wiedziała, skąd jej się to wyrwało. Zresztą to i tak bez znaczenia.

Wygiął kąciki ust. Nie przejął się jej gafą.

- Do widzenia.

Myślała, że cierpienie nie może być większe. Jednak było.

- Cześć.

Może powie, że zadzwoni? Czekala daremnie. Podał Henry'emu jej plecak. Pomógł nieść nosze i czekał, aż wniosą ją na pokład. Henry wsiadł na końcu.

Pomachała mu na pożegnanie, odwzajemnił gest. Drzwi się zamknęły. To koniec ich wspólnej odysei. Zacisnęła powieki.

Henry pogładził ją po głowie.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie.

Mylił się. Już nigdy nic nie będzie dobrze.

Helikopter poderwał się w górę i zniknął w oddali.

Cade przymknął oczy.

Sterling.

Ciągle miał przed oczami jej cierpiącą buzię, oczy pełne łez. Milczała, gdy powiedział, że zostanie na wyspie. Lecz widział, jak to ją wstrząsnęło. Dlaczego tak postąpił? Bo nie są sobie pisani, czego innego chcą od życia. Nie ma dla nich przyszłości. Nie dałby jej szczęścia.

W sumie nawet dobrze, że tak się to skończyło.

Więc czemu się gryzie? Skąd uczucie, że popełnił błąd?

Los Uśmiechniętego Księżyca zależy od pieniędzy Henry'ego, czyli musiał zostać. Ale już tęskni za Sterling. Za jej uśmiechem, za jej głosem.

Co on zrobił? Jego miejsce jest przy niej. Dlaczego z nią nie pojechał?

Wmawiał sobie, że postępuje słusznie, a wszystko znów wiązało się z pieniędzmi. Ze ślepym dążeniem do sukcesu.

Myślał, że się zmienił, lecz to było tylko złudzenie. Jest taki, jakim był zawsze. Armstrong z krwi i kości. Wydawało mu się, że jest inaczej, bo działa na rzecz innych, jednak chodzi o to samo. Sukces i pieniądze.

Maggie zrozumiała to wcześniej i dlatego od niego odeszła. Nie chciała pieniędzy, nazwiska, niczego. Wiedziała, że on się nie zmieni, że zawsze będzie taki. Ujął twarz w dłonie.



Maggie. Kochał ją, widział w niej ideał kobiety. Mylił się. Mylił się we wszystkim. Maggie, Uśmiechnięty Księżyc, on sam - wszystko widział nie tak. I postępował bez sensu.

Zapatrzył się w horyzont.

Teraz wie, czego pragnie. Sterling. Nie jest doskonała, ale nie jest kolejną mrzonką. Istnieje naprawdę. I kocha ją.

Dlaczego z nią nie pojechał?

To największy błąd w jego życiu. Znów na pierwszym miejscu postawił pieniądze. Nie myślał o niej, o tym, jak to odbierze. Zachował się jak jej rodzice. Jak ją teraz przekonać, że ją kocha? Jak zdobyć jej przebaczenie?

Nie cofnie się przed niczym, zrobi wszystko, by jej nie utracić.

Złapał radio, by połączyć się z jachtem. Daremnie. Uświadomił sobie, że Henry jest w helikopterze.

Nerwowo szukał sygnału, modląc się w duchu, by mu się udało. Musi za wszelką cenę dostać się do Sterling.

Śniła cudowny sen. Otaczała ją morze kwiatów, powietrze było przesycone upojnym zapachem. Nie chciała się budzić.

Znowu zaczynała ją boleć. Otworzyła oczy. Wokół róże, orchidee, goździki. Wiadomo, komu to zawdzięcza. Henry'emu.

W drzwiach stanęła rudowłosa pielęgniarka.

- Pewien przystojny mężczyzna chciałby się z panią zobaczyć. Czuje się pani na siłach przyjąć gościa?

Cade. Przyjechał do niej. Serce zabiło jej jak szalone. Poprawiła włosy, podciągnęła kołdrę.

- Tak, bardzo proszę.

Na progu z ogromnym bukietem róż stanął Travis Drummond.

- Cześć, Cynthia.

To nie Cade. Zamrugwała, by powstrzymać łzy.

- Dzięki, że wpadłeś.

- Jestem tu od wczoraj. Nie chcieli mnie wpuścić do ciebie po operacji.

Miał podkrążone oczy, zgniecione ubranie.

- Siedziałeś tutaj cały czas?

- Tak. Bardzo się o ciebie martwiłem, odkąd pojechałaś na wyspę. A potem, gdy usłyszałem o wypadku... Czy to sprawka Watersa?

- Nie, sama jestem sobie winna.

Wszystko to jej wina. Zraniona noga. Złamane serce.

- Nie przejmuj się, będzie dobrze. - Poglądził ją po włosach. - Gdy wyjdiesz ze szpitala, pojedziemy do luksusowego kurortu na Hawaje. Zobaczysz, poczujesz się jak w siódmym niebie. Masaże na plaży, specjalne zabiegi, nawet nie kiwniesz swym ślicznym paluszkami, wszystko zrobią za ciebie. Fryzjer, masażystka, kosmetyczka, to, co kobiety tak uwielbiają. Szybko odzyskasz siły i wrócisz do normalnego życia.

Nie była pewna, czy teraz wie, co to normalne życie.

Wcale nie ucieszyła ją wizja roztoczona przez Trávisa. Kiedyś taka była, ale zmieniła się. Nie jest już kruchą porcelanową laleczką. Potrafi sama o siebie zadbać. Rozpalić ognisko, znaleźć owoce, upleść kosz z palmowych liści.

- Do tego przyjęcia u Henry'ego nie wierzyłem w miłość od pierwszego wejrzenia. - Travis wpatrywał się w nią z zachwytem. - Tęskniłem za tobą, Cynthio. Chcę być przy tobie.

Marzyła, by kiedyś usłyszeć te słowa. Jednak teraz nie czuła radości.

- Wiem, że to możliwe. - Ujął jej dłoń. - Że mamy przed sobą szczęśliwą przyszłość.

Jeszcze niedawno oddałyby wszystko za taką chwilę. Poleciałyby za nim na koniec świata, w biegu zlecając zaaranżowanie uroczystości ślubnej.

Ale już nie jest taka jak wtedy.

Zmieniła się. Owszem, nadal woli gorący prysznic niż pławienie się w oceanie, dałaby wiele za zabieg u fryzjera i kosmetyczki, jednak nie miało to już takiego znaczenia. Woli być Sterling niż Cynthią. Zamiast komfortu wybiera miłość. Travis dałby jej wszystko, czego by zapragnęła, ale nie kocha go, tak jak żona powinna kochać męża. On zasługuje na więcej. Ona też.

Inaczej widzi miłość. Nie musi być egoistyczna i zaborcza, sprawiać ból innym. Można kochać inaczej niż jej rodzice. Nie tylko najbliższą osobę, ale dzieci, przyjaciół, innych ludzi.

- Travis... - Nie chciała go urazić, lecz musi być uczciwa.

- Dzięki za to, co dla mnie zrobiłeś. I co chciałbyś zrobić...

- Słyszę w tym jakieś „ale”... - Już się nie uśmiechał.

- Ale nie jestem tą samą osobą, jaką byłam przed wyjazdem na wyspę. Teraz chcę czegoś innego, niż chciałam wtedy.

- Masz na myśli mnie?

- Wiele rzeczy - wyznała.

- Mogę pokochać tę nową Cynthię.

- Najpierw ja sama muszę się z nią oswoić.

- A potem? - podchwycił z nadzieją.

- Powiem ci szczerze: sama nie wiem. - Nie zamierzała go zwodzić.

- Czy to ma jakiś związek z Watersem? - Gdy skinęła głową, westchnął. - Dziękuję, że powiedziałaś mi prawdę.

Drzwi otworzyły się, na progu stanął Henry.

- Podobno masz gościa i... Och, to ty, Travis.

- Cześć, Henry. I do widzenia. Właśnie się zbierałem. - Musnął ją w policzek. - Życzę ci szczęścia, Cynthio.

Westchnęła. Nie potrzeba jej szczęścia. Potrzebuje cudu.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Gdy drzwi się zamknęły, Henry przysiadł na krześle obok łóżka.

- Jak się czujesz?

- Bywało lepiej - mruknęła. Nie była w nastroju do zwierzeń.

- Lekarz mówi, że się wyliżesz. Nie będziesz utykać, a chirurg plastyczny zadba, by po ranie nie został nawet ślad.

- To dobra wiadomość. Dzięki - powiedziała obojętnie.

- Chciałem, żebyś była szczęśliwa, a wszystko wyszło nie tak. Przepraszam cię, skarbie.

- To był wypadek.

Popatrzył jej prosto w oczy. Był zakłopotany i spięty.

- Nie mówiłem o twojej nodze.

- Niczego nie żałuję. Powtórzyłabym tę eskapadę. - I jeszcze raz bym się zakochała w Cadzie... - Miałam nadzieję, że zakończy się inaczej... Ale wiele zrozumiałam, poznałam samą siebie, więc było warto.

Przyjrzał się jej uważnie.

- Zmieniłaś się, Cynthio.

- Owszem. - I cieszyła się z tego.

- Co mógłbym zrobić? - zapytał, ujmując ją za rękę. Nie miała siły rozmawiać o swoich uczuciach.

- Te kwiaty są piękne. Dzięki.

- Tylko mi nie mów, że nie powinienem był ich przysyłać.

- Nie powiem, bo mi się należały. - Uśmiechnęła się. - Napiłabym się czekoladowego koktajlu.

- Coś jeszcze?

Cade. Lecz nawet Henry nic tu nie pomoże.

- Pierścionek do kompletu.

- Zobaczę, co da się zrobić. - Rozjaśnił się nieco. - Zadzwonię też do twoich rodziców.

Czy wtedy przyjadą? Po raz pierwszy nie było to istotne.

- Nie dzwoń.

- Ale jesteś tu całkiem sama.

- Nie jestem. - Ścisnęła jego dłoń. - Mam ciebie.

Wysokie fale rzucały łódką jak łupinką orzecha. I jeszcze ten wszechogarniający zapach rozkładających się ryb. Cade ledwie się trzymał.

Powinien dziękować Bogu, że udało mu się namierzyć przez radio ten kuter. Jednak rybacy nie dowiozą go na miejsce. Oczy zamykały mu się ze zmęczenia. Nie może pozwolić sobie na drzemkę. Musi działać.

Trzymał przy uchu słuchawkę telefonu satelitarnego. Pamiętał numer, ale od lat go nie używał. Może się zmienił? A jeśli nikt nie odbierze? Czy wujek Alan zechce z nim rozmawiać?

- Biuro Alana Armstronga. - Poznał głos Vanessy, długoletniej sekretarki wujka. - Czym mogę służyć?

- Tu Cade.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Bał się, że Vanessa odłoży słuchawkę.

- Jak się miewasz, Cade? Minęło sporo czasu, odkąd dzwoniłeś. Ile to, dwa, trzy lata?

- Pięć. Czy wujek jest wolny?

- Dla ciebie zawsze... Poczekaj chwilę.

Każda sekunda ciągnęła się jak wieczność. Myślał o swoich błędach i potknięciach. Zawiódł na całej linii. Serce biło jak oszalałe.

Może wujek nie będzie chciał z nim rozmawiać, bo to Cade zerwał z rodziną. Oskarżał najbliższych, że przez nich stracił Maggie, bo nalegali na umowę przedślubną. Nie przebierał w słowach, gdy wujek Alan zablokował przelanie na konto Uśmiechniętego Księżyca pieniędzy należnych Cade'owi. Dotąd mógł czuć urazę... i miałby rację.

- Miło mi ciebie słyszeć, Cade. - W głosie Alana brzmiał jednak szczerzy niepokój. - Co tam u ciebie? W porządku?

- Nie za bardzo. - To wyznanie przyszło mu łatwiej niż się spodziewał. - Wujku, poza tobą nie mam do kogo zadzwonić.

- Cieszę się, że się zdecydowałeś. Tęskniłem za tobą, Cade. Wszyscy tęskniliśmy.

Dławiło go w gardle. Nie mógł wydobyć głosu.

- Mów, czego ci trzeba - zachęcił Alan. Właśnie tego Cade się po nim spodziewał. - Cokolwiek to jest, już to masz.

- Jestem na rybackim kutrze gdzieś w pobliżu Hawajów.

I muszę jak najszybciej dostać się na ląd.

Była pewna, że nadal śni. Tylko ten dziwny zapach przebijający przez słodki aromat kwiatów. Otworzyła oczy, zamrugła. Na krześle siedział Cade. Ciemne sińce pod oczami, wymięte ubranie. I ten zapach.

Może jej się to śni. Nie, stopa za bardzo ją boli. Czyli to jawa.

- Co... co ty tu robisz?

Podniósł się, podszedł do niej i podał czarną saszetkę.

- Zostawiłaś zestaw do manikiuru. Pomyślałem, że może ci się przyda.

- Dlatego przyjechałeś? Cade, mów prawdę. I co z darowizną?

- Ot, tak jakoś - mruknął enigmatycznie.

- Nie mydl mi oczu.

- Najpierw ty mi powiedz, jak się czujesz.

- Zmęczona, obolała i głodna.

- Czyli jak na wyspie. Tylko teraz masz łóżko. - Poklepał materac. - I jesteś czyściutka. Też bym się chętnie wykąpał.

- Używasz nowej wody? - zażartowała. - Po co tu przyjechałeś, Cade?

- Chciałem cię zobaczyć.

- Wiec mnie widzisz. - Ucieszył ją jego widok, ale była zła, że nie wyjechał razem z nią. Tak, była zła, ale pragnęła poczuć jego dotyk, jego usta... Czyli wszystko bez sensu. - Jak wydostałeś się z wyspy?

- To długa historia.

- Nigdzie się nie śpieszę. - Wskazała na obandażowaną nogę.

Pokrótkie opisał kolejne etapy. Zamrugwała. Po co wychodził ze skóry, skoro do zakończenia przygody został jeden dzień?

- Po co to wszystko?

- Ty jesteś warta wszelkich starań. - Ja?

- Powinienem był wyjechać razem z tobą.

- Zaraz,.. A darowizna dla Uśmiechniętego Księżyca...

- Nie jest tak ważna jak ty. - Ucałował jej dłoń. - Zostając na wyspie, popełniłem największy błąd mojego życia. Jakbym niczego się nie nauczył. Myślałem, że się zmieniłem, ale to było tylko złudzenie. Nadal bytem Armstrongiem, nadal zależało mi na sukcesie i pieniądzach. Zrozumiałem to, gdy wyjechałaś. Przez ostatnie lata żyłem jak w innym świecie. Wpadłem z jednej skrajności w drugą. Obwinałem krewnych o rozpad małżeństwa rodziców, odrzuciłem rodzinę. Wmawiałem sobie, że bez Maggie nigdy nie będę szczęśliwy. Myliłem się. - Pogładził ją po policzku. - Dzięki tobie stałem się lepszy. Rozluźniłem się, zacząłem cieszyć się życiem. Przestała boleć mnie głowa. Pokazałaś mi, że życie nie jest tylko białe i czarne. Dostrzegłem różne odcienie szarości.

Przepełniła ją radość. Nie czuła już żalu ani złości. Pomogła mu, tak jak on jej. Mają szansę na wspólną przyszłość. I choć nie wiadomo, co przyniesie, warto spróbować.

- Powiedz coś - powiedział Cade. - Powiedz „tak”.

- Tak?

- Tak. Że wyjdiesz za mnie.

Sięgnął po jej dłoń. Serce zatrzepotało jej w piersi.

- Wiem, że to brzmi beznadziejnie. Znamy się krótko i nie obyło się bez wpadek. Widziałem w tobie pustą damulkę brylującą wśród podobnych do ciebie, ale na wyspie pokazałaś się z zupełnie innej strony. Ujrzałem prawdziwą Sterling. Bez makijażu, bez świecidełek. Zaimponowałaś mi. Nie bałaś się poranić rąk, pokonałaś lęk przed wodą, dzieliliśmy się marzeniami... Nie mogę dać ci pieniędzy, domu na wsi czy letniej rezydencji nad morzem. Ale mogę cię kochać. I Kocham cię, Sterling. Zawsze będę cię kochać.

- A Maggie...

- Ona nie była dla mnie. Byłem nią oczarowany, a potem ta urażona duma, gdy odeszła ode mnie... Dopiero przy tobie poznałem, czym jest prawdziwa miłość. Sterling, nie jesteś doskonała, ja też nie. Jednak razem możemy stworzyć doskonałą parę. Być dobrym małżeństwem i świetnymi rodzicami. Powiedz, że mam szansę - rzekł żarliwie. - Powiedz, że cię nie straciłem.

Łzy napłynęły jej do oczu. Nie wiedziała, że można tak kochać. Chciała tylko Cade'a, reszta nie miała znaczenia. Co tam majątek, stroje, piękny dom. Liczy się tylko miłość.

- Nie, nie straciłeś.

- Gdy wyjechałaś, czułem się strasznie: Dopiero wtedy dotarło do mnie, co zrobiłem. Myślałem, że umrę... a potem zacząłem działać. Sam nie dałbym rady. Dlatego zadzwoniłem do wujka. Wysłał po mnie statek.

Wiedziała, jak wiele go to kosztowało. Musiał schować dumę do kieszeni. I za to kochała go jeszcze bardziej.

- A propos, wujek będzie tu jutro. - Uśmiechnął się. - Chce poznać dziewczynę, dzięki której wróciłem na łono rodziny.

Łzy piekły ją pod powiekami.



- Tak się cieszę - wyszeptała.

Cade wyjął z kieszeni obite czarnym aksamitem pudełeczko i otworzył je. Błysnął brylant otoczony wianuszkami szafirów.

- To dla ciebie.

- Ale jak ty...

- Henry kupił ten pierścionek, podobno go chciałaś. Przekonałem go, że to niewłaściwy prezent jak na przyjaciela.

- Jesteś odrobinę zaborczy, co? - Uśmiechnęła się.

- Masz pierścionek, tyle że ode mnie, nie od Henry'ego. Odkupiłem go. Pewnie będę go spłacać przez pięćdziesiąt lat. Może czterdzieści, jeśli nauczymy się oszczędnie gospodarować.

- Mam swoje pieniądze. Nie takie jak Armstrongowie, ale wystarczy na normalne życie. Oczywiście wykluczając takie ekstrawagancje jak ten pierścionek. Popatrzył na nią z napięciem.

- Czy to znaczy tak?

- Tak. - Serce śpiewało jej z radości. - Dzięki tobie zrozumiałam, że wcale nie muszę wyjść za bogacza, by czuć się pewna i bezpieczna. Pieniądze tego nie dają, tylko miłość. Tylko ty. - Była bardzo wzruszona. - Ujrzałeś we mnie kogoś innego niż rozrywkową ślicznotkę. A ja ciągle miałam w pamięci moich rodziców, bałam się powtórzyć ich los. Dopiero później zrozumiałam, że miłość nie musi być taka. Można obdarzyć uczuciem nie tylko ukochaną osobę, lecz dzielić się nim z innymi.

Wsunął jej pierścionek na palec. Rozmiar w sam raz. Na Henry'ego można liczyć. Ale w niektórych sprawach nie można zdawać się na innych.

- Myślisz, że Henry to wszystko zaplanował?

- Czy to ma znaczenie? - Uśmiechnął się.

- Teraz nie. - Popatrzyła na promienny blask rzucony przez brylant. - Ale potem...

- Henry podtrzymał wszystkie bonusy na Uśmiechnięty Księżyc. Nie musiał tego robić - rzekł Cade.

- Musiał - sprostowała. - Nikt nie ma prawa tak igrać z ludzkimi uczuciami.

- Ja jestem mu za to bardzo wdzięczny. - Musnął jej usta.  
- Sterling, kocham cię.

- Ja też cię kocham, Armstrong. Cade roześmiał się.

- Czy to znaczy, że jesteś gotowa na następną przygodę?  
Uśmiechnęła się.

- Jeśli będziesz przy mnie, jestem gotowa na wszystko.

## EPILOG

Siedzący w bibliotece Henry popatrzył na złożone kostki do gry. To będzie prezent dla pierworodnego dziecka Cynthii i Cade'a. Taką samą parę dostała Noelle. Włożył kostki do wykładanego aksamitem pudełeczka i schował je do sejfu.

Czas wziąć się do roboty. Za dziesięć miesięcy trzydzieste piąte urodziny. Przygotowania już są w toku, ale najważniejsze przed nim. Sięgnął do swojego spisu. Kto będzie kolejną, wyswataną przez niego parą?

Postukał piórem w blat, przesunął wzrokiem po nazwiskach. Pozostało mu tylko jedno - wybrać właściwych kandydatów.